

NOWA KONFEDERACJA nr 7 (73)/2016

INTERNETOWY MIESIĘCZNIK IDEI

6 lipca—2 sierpnia

cena: 0 zł



CO PO UNII?

**SCENARIUSZE ROZPADU
UNII EUROPEJSKIEJ**

W numerze:**Brexit i Nowa Europa Ojczyzn**

Michał Kuź 3

Żegnaj, Unio!

Aleksandra Rybińska 9

Europę uratuje tylko Imperium

Z Tomaszem Gabisiem rozmawia Stefan Sękowski 14

Ile w Polsce powinno być miast?

Rafał Matyja 19

Chcieliście miasta, to je macie

Michał Domińczak 24

Kuszące owoce zatrutego drzewa

Tomasz Pułról 28

Koniec narodowców

Stefan Sękowski 33

NATO na krawędzi

Jacek Bartosiak 38

Awansujemy w chińskiej hierarchii

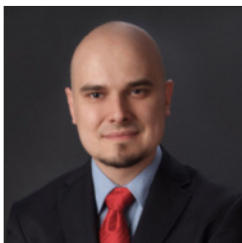
Wojciech Tomaszewski 41

Polska w afrykańskim zwierciadle

Andrzej Meler 45

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Brexit i Nowa Europa Ojczyzn



MICHAŁ KUŹ

Redaktor „Nowej Konfederacji”,
ekspert Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego,
doktor nauk politycznych

Czas pełzającego eurofederalizmu się skończył, a twarde jądro Europy nie jest zdolne do utrzymania hegemonii na kontynencie. Potrzebny jest ni mniej, ni więcej jak tylko nowy traktat unijny

Historia, inaczej niż chcą postępowcy, nie płynie w z góry ustalonym kierunku, a przynajmniej my nie umiemy go z naszej ludzkiej perspektywy dostrzec. Jeśli porównać ją do rzeki, to czasami wychylając się niebezpiecznie z łodzi potrafimy dostrzec krótki odcinek przyszłości, ot do najbliższego zakola, najbliższej katarakty. Jakby tego było mało, nurt na niektórych odcinkach niebezpiecznie przyspiesza, fale wzbierają. Brexit to właśnie moment takiego przyspieszenia. Nie wolno w takich chwilach popadać w panikę, historii trzeba wyjść naprzeciw. Starzy unijni liberałowie sami jednak tego już nie umieją, choćby nawet i chcieli.

Chcą granic!

Kiedy w marcu zeszłego roku postawiłem tezę o tym, że we wszystkich niemal rozwiniętych krajach stary podział na tradycyjną lewicę i prawicę zastępuje podział na globalistów i lokalistów, sądziłem, że piszę raczej o wolnym procesie, który spokojnie rozłoży się na kilka do kilkunastu

lat, zanim dojdzie do punktu kulminacyjnego. Potem jednak była brawurowa kampania Berniego Sandersa i przede wszystkim Donalda Trumpa, a w końcu przegrana zwolenników pozostania Wielkiej Brytanii w Unii. No i oto wybuchła nam rewolucja lokalistyczna. Traf chciał, że akurat podczas referendum brexitowego Donald Trump przebywał w Szkocji. Do kamer wyszedł w kampanijnej czapeczce i luźnej marynarce. „Ludzie chcą granic...” – powiedział do reporterów. No tak, w sumie nic dodać, nic ująć. Ludzie nie chcą dzielić swoich przestrzeni publicznych z przypadkowymi przybyszami w imię niejasnych ideologicznych przesłanek. Zdawać się na decyzje bezimiennych biurokracji i kaprysy świata wielkich finansów. Chcą granic w ramach których mogą mieć poczucie kontroli nad wspólnotą polityczną i bliskiego kontaktu z władzą. Nie chcą być duszeni irracjonalnymi programami oszczędnościowymi jak Grecja, czy też zmuszani do bezterminowego przyjmowania milionów uchodźców, jak dziś niemal cała Europa. Państwa narodowe to

zaś nie wymyśl zacofanych umysłów, które nie rozumieją, że ludzkość to jedna wielka rodzina, tylko realnie największe możliwe terytorialnie wspólnoty polityczne, w których obywatele wciąż mają jeszcze poczucie współuczestniczenia w sprawowaniu władzy. Ich istnienie, w takich, a nie innych ramach, nie wynika ze złośliwości nacjonalistów, jak sugeruje po referendum wielu rozżalonych liberałów, tylko z ekonomii i mechaniki sprawowania władzy. Tę mechanikę z kolei warunkują cechy gatunku ludzkiego, to ile jesteśmy w stanie przyjąć informacji i z iloma innymi jednostkami wejść w jakiś sensowny kontakt (nawet przy użyciu protez, takich jak media tradycyjne i ostatnio media społecznościowe). W tym sensie powojenny globalistyczny liberalizm dotarł do antropologicznej granicy, a po drodze zjadł i przerobił na swoją modłę większą część starej lewicy. Zmusił ją z czasem do głoszenia haseł zupełnie sprzecznych: otwarcia granic dla przybyszów, zgody na nieregulowany globalny rynek i (już tylko symbolicznie) obrony interesów ludzi pracy. A przecież tych trzech postulatów nie da się pogodzić. Niespójności pozwalają zaś politykom nowej generacji wkraczać w miejsce opuszczone przez lewicę i przy okazji odbierać też elektorat dawnej, a dziś również zglobalizowanej prawicy w rodzaju niemieckiej CDU i Cameronowskiego skrzydła konserwatystów. Czy bowiem UKIP albo też frakcja Borisa Johnsona to lewica, czy prawica? Nie, oto są właśnie lokalisci. Wśród globalistów tymczasem wybuchła panika. Kiedy słucha się głosów Jarosława Kurskiego, Radka Sikorskiego, a także niektórych komentarzy na prawicy, odnosi się wrażenie, że ich przepis na to, co zrobić po Brexicie brzmi: „położyć się spokojnie do grobu i czekać na działania Putina”. Dochodzi też do zupełnie dzie-

cinnego wytykania palcami tych, którzy rzekomo za bardzo się cieszą. Jakby i autor tych słów miał wstydić się trafnych prognoz, zamiast mieć zawodową satysfakcję z dobrze wykonanej pracy analityka. Globalistyczni liberałowie są też skorzy, by zganiać całą odpowiedzialność za obecne zawirowania na giełdach i sytuację rosnącej niepewności na premiera Camerona. Zupełnie jakby Brexit nie był tylko symptomem głębokiej choroby lizbońskiej Europy. A przecież kryzys systemowy ujawniłby się i tak. Jeśli nie przy okazji brytyjskiego referendum, to przy jakichś kolejnych wyborach w innym państwie.

Twardego jądra nie będzie

Inną narracją, popularną zwłaszcza wśród polskich globalistów, jest opowiadanie o jednoczącym się wokół Niemiec twardym jądrze Unii, które wypchnie kraje nowej UE na peryferie, robiąc przy okazji z Polski kozła ofiarnego. Równocześnie jednak, głoszący tę tezę eksperci, politycy i publicyści zwykle sami sobie przeczą, kiedy jednym tchem mówią o możliwych referendach we Francji, Holandii, Belgii, Danii, Szwecji czy w krajach biedniejszego Południa. Czyżby więc w owym mitycznym twardym jądrze miały w końcu pozostać same osamotnione Niemcy i czy to z nimi mamy jeszcze bardziej zacieśniać stosunki? Tylko jak? Nasze związki gospodarcze są przecież już bardzo bliskie. Politycznie zaś bardziej się zbliżyć już nie możemy, bo nie chcą tego nasze społeczeństwa. Co możemy jeszcze jako Polacy zrobić? Emitować dwujęzyczne „Nachrichten” zamiast „Faktów” TVN? Trzeba sobie powiedzieć wprost – twarde jądro to mit. Niemcy mogą nawet chcieć je tworzyć, ale jest to działanie z góry skazane na porażkę. Nie może ono powstać – po pierwsze dlatego,

że opcja lokalistyczna jest silna i obecna we wszystkich krajach wspólnoty, a zwłaszcza w „starej” unii.

**Jeśli więc ani twarde jądro,
ani neośredniowieczna sieć,
ani imperium, to co?
Cóż, pozostaje nam droga
do innej, mniej
scentralizowanej i bardziej
sprawiedliwej zarazem
Europy, do Nowej Europy
Ojczyzn**

Po drugie, „przykręcanie śruby” przez Niemcy tylko tę opcję wzmocni, bo z sondaży już wynika, że gros mieszkańców UE nie chce większej integracji. Po trzecie, choć od drugiej wojny światowej minęło już ponad osiemdziesiąt lat, nikt w twardej jądrze nie jest gotowy tak po prostu powierzyć wszystkich politycznych i gospodarczych sterów Berlinowi, zwłaszcza po jego ostatnich ekscesach. Wreszcie po czwarte, to Europa Środkowo-Wschodnia jest dziś najszybciej rozwijającym się regionem UE i przy okazji najmniej eurosceptycznym. Bez niej nie będzie niemieckiego dobrobytu, nawet jeśli Niemcy zaczną mitami o współpracy z Moskwą tego nie rozumieją.

**Nowa Europa Narodów czy
neośredniowieczne imperium?**

Czy to jednak znaczy, że musimy wrócić do sytuacji chaosu i braku koordynacji na szczeblu europejskim, a z czasem i kon-

fliktów zbrojnych w Europie? Bynajmniej, możliwe są dwa konstruktywne wyjścia. Po pierwsze, zbudowanie Nowej Europy Narodów. Po drugie, próba pójścia w kierunku neośredniowiecznego czy też para-imperialnego tworu, o którym pisze Jan Zielonka i w swoim wywiadzie dla NK opowiada Tomasz Gabiś. Wizja Zielonki z książki „Koniec Unii Europejskiej” mówi o naturalnym zacieraniu się narodowych granic i jednoczesnym słabnięciu skłonności centralistycznych w UE. W efekcie ma powstać neośredniowieczna sieć regulatorów, agencji, NGO-sów i „hanzeatyckich” związków miast. Obszary kompetencji tych sieciowych organizacji będą częściowo na siebie zachodzić, a częściowo będą działać rozdzielnie. Problem polega jednak na tym, że tego typu pajęczyny zależności rzadko funkcjonują sprawnie bez jakiegoś pająka. A w tym wypadku oczywistymi kandydatami są niemieccy przemysłowcy i przedsiębiorcy panowie z Wall Street. Co gorsza, pająki będą mogły biegać gdzie tylko zechcą, bo nie będzie już władz obieralnych, zdolnych je choć trochę ograniczać. Oczywiście Zielonka mówi o „wzajemnie się obserwujących” sieciach, które w ten sposób wymuszają przestrzeganie pewnych norm na zasadzie „jeśli robisz świństwo, dowie się o tym cały świat”.

W praktyce jednak pole potencjalnych manipulacji jest tak duże, że osobista suwerenność pojedynczego obywatela nowego neośredniowiecznego świata jest żadna. Zostaje on jeszcze bardziej zredukowany do poziomu nowego pańszczyźnianego chłopca, przykutego do kredytu i korporacyjnego biurka. Wizja Imperium jest również ciekawa, ponownie zawiera jednak milczące założenie o dobrotliwej hegemonii Niemiec. A o tym, jak bardzo może ona być dobrotliwa, przekonali się

już Grecy, kiedy Niemcy zmiażdżyły ich gospodarkę, pomimo płynących z całego świata zapewnień największych ekonomistów, że ukuty w Berlinie pakiet oszczędnościowy jest z gospodarczego punktu widzenia absurdem i musi się skończyć głęboką zapaścią Grecji. Do tego jeszcze imperia mają pewną paskudną cechę, a jest nią niejasna sukcesja i wymiana elit.

Czy bowiem Wielka Brytania naprawdę może się w tak czy inaczej rozumianej wspólnocie europejskiej nie znaleźć? Z punktu widzenia wartości europejskich i wspólnej kultury to przecież niedorzeczność

Ogromna ilość kreatywnej energii jest w nich marnowana na niekończące się, krwawe „gry o tron” – pomiędzy rozmaitymi koteriami, rodzinami, klikami itp. A kiedy cały system ulegnie już przegrzaniu, reguluje się on za pomocą jeszcze bardziej kosztownych wojen domowych i rewolucji. Dopiero dość przejrzysty mechanizm wyborczy w ramach państw narodowych częściowo uwolnił nas od opętania polityką dynastyczno-frakcyjną i tym samym zapoczątkował okres niebywałego rozwoju ludzkości w pozapolitycznych i pozamilitarnych dziedzinach.

Co dalej?

Jeśli więc ani twarde jądro, ani neośredniowieczna sieć, ani imperium, to co?

Cóż, pozostaje nam droga do innej, mniej scentralizowanej i bardziej sprawiedliwej zarazem Europy, do Nowej Europy Ojczyzn. Droga, za którą zdaje się dziś opowiadać zarówno wielu obywateli Wielkiej Brytanii, jak i wielu Polaków. Słowa te może i brzmią dziwnie, bo wydawałoby się, że Brexit przekreśla współpracę pomiędzy Polską a Wielką Brytanią w europejskich przedsięwzięciach. Może jednak jest na odwrót? Może właśnie teraz ta współpraca powinna sobie postawić ambitniejsze niż dotąd cele? Czy bowiem Wielka Brytania naprawdę może się w tak czy inaczej rozumianej wspólnocie europejskiej nie znaleźć? Z punktu widzenia wartości europejskich i wspólnej kultury to przecież niedorzeczność. Najbardziej popularnym nieoficjalnym językiem urzędowym Unii jest przecież wciąż angielski, czy więc Wielka Brytania, największy w Europie kraj anglojęzyczny, może naprawdę nie być jej częścią? Cóż, jak mawia angielskie przysłowie „desperate times call for desperate measures” (trudne czasy wymagają trudnych rozwiązań). Teraz niezwykle trudnym, wręcz desperackim krokiem jest zaś wymyślenie wspólnoty europejskiej na nowo i znalezienie w niej miejsca dla Wielkiej Brytanii oraz „starej” i „nowej” Unii. Nie da się jednak tego ułatwić kolejnym reformatorskim plasterkiem. Potrzebny jest, jak to przytomnie zauważył Jarosław Kaczyński, ni mniej ni więcej, tylko nowy traktat unijny.

Nawiązując częściowo do niedawnego raportu Instytutu Wolności („Polskie i brytyjskie wizje przyszłości Europy: Propozycja wspólnej agendy reformy Unii Europejskiej”) i uzupełniając go już po Brexicie, o bardziej odważne propozycje zmian systemowych, można zakreślić ramowo siedem punktów, na których taki traktat powinien się opierać:

1. Europa jest wspólnotą państw. Ze względu na różnorodność kultur, języków, religii i tradycji nie jest możliwe stworzenie w przewidywalnej przyszłości federalnego państwa europejskiego, a próby wprowadzenia takich rozwiązań pogłębiają jedynie chaos na kontynencie. Należy więc odejść od zakładającego taki model rozwoju UE Traktatu Lizbońskiego.

2. Ciała unijne w myśl nowego traktatu mogą mieć tylko kompetencje wyraźnie zapisane w traktacie. Nie mogą same tych kompetencji poszerzać. Nie mogą w żaden sposób ingerować w politykę wewnętrzną krajów, poza jednoznacznie sprecyzowanymi w traktacie przypadkami.

3. Parlamenti krajowe mają prawo użycia „czerwonej kartki”, mogą np. kwalifikowaną większością głosów odrzucać regulacje unijne, podjęte w określonych przez traktat obszarach.

4. Obecny Parlament Europejski, wobec braku europejskiego ludu politycznego, nie ma racji bytu jako pełnoprawna legislatywa. Z kolei wprowadzona przez Traktat Lizboński zasada głosowania podwójną większością w Radzie Unii Europejskiej łamie zasadę różnorodności i suwerenności narodowej, dając zbyt duże wpływy najludniejszym państwom UE. Nowy traktat powinien zaproponować rozwiązanie czyniące zadość zarówno zasadzie państwowej suwerenności, jak i problemowi deficytu demokracji w dotychczasowej UE. Dlatego, wzorując się na istniejących wzorcach, może on zaproponować co następuje: po likwidacji europarlamentu Rada UE powinna zostać przekształcona w coś na kształt Senatu UE. Każde państwo członkowskie miałoby w tym ciele dwóch „senatorów”, którzy nie pełniliby jednak rów-

nocześnie żadnych innych funkcji i byłiby w każdym państwie wspólnoty wybierani w osobnych wyborach demokratycznych na czteroletnie kadencje. Senat UE podejmowałby zaś większość decyzji w obszarach traktatowych normalną większością głosów. W ten sposób rośnie suwerenność poszczególnych krajów wspólnoty, a Unia otrzymuje zastrzyk demokracji, bo związek senatorów z wyborcami oparty jest na silnej i bezpośredniej więzi wyborczej w ramach państw narodowych. Rozdzielając funkcje senatora i członka rządu krajowego zachowuje się też większy trójpodział władzy i unika tworzenia ekskluzywnego klubu prezydentów, premierów i dyplomatów.

5. Istnienie w ramach UE strefy euro jest możliwe tylko na zasadzie dobrowolności. Państwa strefy euro nie mogą wywierać na innych członków wspólnoty nacisków ani w kwestii pozostania w tej strefie, ani w kwestii przyłączenia się do niej. Finanse strefy euro regulować może nadal EBC, finanse pozostałych państw są regulowane przez ich niezależne banki centralne.

6. Nowa UE powinna zachować istnienie strefy Schengen, ma jednak obowiązek ochrony granic zewnętrznych i wspierania bezpieczeństwa swoich członków.

7. Mechanizm, który pozwala w ramach wspólnego, wolnego rynku spychać niektóre państwa do neokolonialnej pozycji rozwoju zależnego, a potem w ramach np. funduszy strukturalnych stosować re-dystrybucję, by im te straty wynagrodzić, jest nie tylko niesprawiedliwy, ale i nieefektywny. Prowadzi on do pogłębiania się różnic rozwojowych pomiędzy państwami i wzrostu brukselskiej biurokracji. Zabiera też realne miejsca pracy, a tworzy

fikcyjne zatrudnienie w ramach „projektów”, czy też słynnego syndromu „gminnej pływalni”. Potrzebny jest nowy mechanizm regulacji gospodarczych, który z jednej strony zapewni przetrwanie wspólnego rynku UE, a z drugiej da słabszym państwom szansę na zrównoważony rozwój. Dlatego państwa, które uważają się za słabiej rozwinięte, powinny mieć prawo zwrócenia się do Europejskiego Senatu z prośbą o rozpatrzenie ich planu rozwojowego (wzorowanego np. na azjatyckim „developmental state”). Po pozytywnym zaopiniowaniu przez Senat i przegłosowaniu, państwa te mogłyby zaś czasowo chronić wybrane obszary swoich gospodarek (takie, które rokują na ich włączenie się do tzw. globalnego łańcucha wartości) po to, by zapewnić im lepszy stopień rozwoju i konsolidacji przed powrotem do strefy wspólnego wolnego rynku.

Myślę, że takiej właśnie z grubsza Europy pozostaje sobie życzyć i działać na rzecz jej realizacji. Z polskiego punktu widzenia pozostaje też gorzką prawdą, że do decyzji Brytyjczyków mogła się przyczynić fala imigrantów, pochodząca również z naszego kraju. Być może jednak realizacja punktu siódmego pozwoli stworzyć naszym obywatelom warunki, które nie będą ich masowo wypychać za granicę. Tak czy inaczej, czas pelżającego eurofederalizmu się skończył, a twarde jądro Europy nie jest zdolne do utrzymania hegemonii na kontynencie. Nasza europejska łódeczka zbliża się więc właśnie do wodospadu, a każdy kajakarz wie, że w takich razach najgorsze co można zrobić, to usiłować płynąć pod prąd. Potrzebna nam jest jak nigdy ucieczka do przodu.

Żegnaj, Unio!



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Zastępca redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”,
publicystka wPolityce.pl

Unia Europejska, jaką znamy, w ciągu najbliższych 10–15 lat zniknie. Zastąpią ją luźne bloki regionalne

„Żaden człowiek nie jest samoistną wyspą; każdy stanowi ułomek kontynentu, część lądu. Jeżeli morze zmyje choćby grudkę ziemi, Europa będzie pomniejszona, tak samo jak gdyby pochłonęło przylądek, włość twoich przyjaciół czy twoją własną” – pisał w 1624 roku angielski poeta i prozaik John Donne, cztery stulecia przed referendum, które wyprowadzi Wielką Brytanię z Unii Europejskiej. „Czułam się jak na pogrzebie przyjaciela. To nie jest już UE, do której dołączyliśmy” – skomentowała wynik Brexitu Vaira Vīķe-Freiberga, była prezydent Łotwy.

Od ustanowienia w 1951 roku Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali do Traktatu z Maastricht integracja europejska toczyła się powoli, napędzana przez francusko-niemiecki motor, gospodarze i polityczne interesy jej najsilniejszych członków oraz sporą dawkę idealizmu. Wystarczyło zaledwie kilka lat stagnacji, kryzysu wspólnej waluty i masowego napływu imigrantów, by Unia Europejska zaczęła pruć się w szwach. Dni, gdy eurokraci w samozadowoleniu mogli dyskutować o pochodzeniu sera feta, należą do prze-

szłości. Przywódcy europejscy mogą w obliczu Brexitu do woli przywoływać wspomnienia krwawej historii Europy (vide kanclerz Niemiec Angela Merkel), próbować zatrzymać czas, ale to nie zapobiegnie dezintegracji Unii. Europejczycy stracili zaufanie do swoich elit. Globalizacja zakłada, że będą zwycięzcy i przegrani. Ale także obiecuje, że „na długą metę wszyscy skorzystają”. Projekt europejski miał zapewnić ludziom pracę, dobrobyt, bezpieczeństwo i pokój. Od dobrych kilku lat widać, że nie ma ani pracy, ani dobrobytu. A od chwili zamachów terrorystycznych we Francji i Belgii wiemy, że nie ma też bezpieczeństwa. Tysiące imigrantów koczujących w Calais i usiłujących przedostać się przez tunel pod kanałem La Manche na Wyspy Brytyjskie sprawiły, że dla Brytyjczyków skutki globalizacji stały się aż nader namacalne. Za wyjściem Wielkiej Brytanii z UE nie bez powodu masowo głosowali mieszkańcy zubożałych miejscowości wzdłuż wschodniego wybrzeża Anglii i upadających miast przemysłowych w Midlands, Yorkshire i Walii, którzy mają wrażenie, że stracili kontrolę nad

własnym losem. Jak powiedział niegdyś ekonomista John Maynard Keynes – „w polityce nie ma co liczyć na cierpliwość ludzi, bo na dłuższą metę wszyscy będziemy martwi”.

Integracja w ślepych zaułku

20 lat temu, kiedy z EWG rodziła się UE, zderzyły się ze sobą dwie przeciwstawne koncepcje: luźnej konfederacji niepodległych państw, które wspólnie ustalają ze sobą ramy i zasady paneuropejskiej współpracy (koncepcja anglosaska), oraz federacji, w której państwa narodowe będą stopniowo zrzekać się swojej niepodległości, na rzecz paneuropejskiego centrum (koncepcja francusko-niemiecka). Zwyciężyła ta druga. Brytyjczycy nigdy się z tym nie pogodzili – nie zamierzali rezygnować z funta, nie weszli do strefy Schengen, ograniczali jak tylko mogli działanie wielu unijnych norm. I im bardziej Europa zmierzała w kierunku federacji, tym bardziej aktualne stawało się pytanie: „kiedy?”, bo tych dwóch wizji Europy nie dało się ze sobą pogodzić. Unię Europejską opuszcza kraj najmniej z nią związany. Za nim podążą kolejne. Tym bardziej, iż integracja europejska, rozumiana jako proces tworzenia ponadnarodowego państwa, już dawno utknęła w miejscu. Próba ustanowienia politycznej Unii poprzez Traktat Konstytucyjny się nie powiodła i dała nam – w mękach – Traktat Lizboński. Euro – jak zakładał jego pomysłodawca Jacques Delors – także nie doprowadziło do zrośnięcia się Europy. Wręcz przeciwnie. Podzieliło ją na centrum i peryferie, na dłużników i wierzycieli. Grecja to wręcz wzorcowy przykład porażki europejskiego projektu i tak często przywoływanej europejskiej solidarności: sześć lat zaciskania pasa,

wyprzedaży majątku narodowego, nadzoru i tłamszenia, a Ateny są wciąż w tym samym miejscu, w którym były w 2010 roku. Unia Europejska to nieudany projekt elit. Referendum w Wielkiej Brytanii to element przetworzenia go w projekt obywateli, dający nadzieję na przełamanie застоju i zwiększenia demokratycznej legitymizacji UE. Europejskie elity powinny więc zareagować na Brexit obszernym mea culpa, bić się w pierś, przyznać, że

**Im bardziej Europa
zmierzała w kierunku
federacji, tym bardziej
aktualne stawało się pytanie,
kiedy Wielka Brytania
wystąpi z UE**

euro to pomyłka, a federacja – jeśli do dziś nie udało się jej utworzyć – już nie powstanie. Powinny podjąć reformę wspólnoty, o której w swoim tekście pisze mój kolega Michał Kuź. Zamiast tego wolą jednak pogrążyć się dalej w kłamstwie. Czym innym są propozycje szefów MSZ Francji i Niemiec, Franka-Waltera Steinmeiera i Jeana-Marca Ayraulta, pogłębienia integracji, uwspólnotowienia szeregu polityk unijnych, w tym azylowej i bezpieczeństwa. Lub plan reform, jaki przedstawił minister finansów Niemiec Wolfgang Schäuble, zakładający zwiększenie nadzoru nad gospodarkami i budżetami krajów eurostrefy przez nowo utworzone w tym celu ciała regulacyjne, znajdujące się już nie tylko poza kontrolą tych państw, ale także Komisji Europejskiej. Reformy, która stanowiłaby „krok

do tyłu”, o co apeluje m.in. były kanclerz Niemiec Helmut Kohl, nie będzie, bo nikomu, z wyjątkiem coraz bardziej sfrustrowanych europejskich obywateli, na tym nie zależy. Nie zależy na tym Niemcom, dla których UE jest narzędziem dominacji, pozwalającym im realizować własne interesy nie wywołując większego sprzeciwu, ani Komisji Europejskiej, która – gwałcąc często po drodze traktaty – wywalczyła sobie w ostatnich latach coraz większe prerogatywy. Nie ma przy tym znaczenia, czy na jej czele stoi Jean-Claude Juncker, czy ktoś inny. Celem każdej instytucji jest reprodukcja, powielanie samej siebie, czyli zachowanie co najmniej status quo. Po wyjściu z Unii „głównego hamulcowego” w postaci Londynu, kontynentalna koncepcja Europy wróci do łask. Punkt ciężkości przeniesie się na kraje eurostrefy, a Niemcy będą mogły już otwarcie pełnić rolę „dobrotliwego hegemonu”.

Reformy jedynym ratunkiem

Kryzysowe spotkanie szefów MSZ państw założycieli UE pokazało aż nader wyraźnie, w jakim kierunku zamierzają iść europejskie elity. Nie będzie Wielkiej Brytanii, ma być za to więcej Europy. Wspólnotą równoległych państw Unia nigdy nie była, teraz stanie się to jeszcze bardziej widoczne. Nie liczyłabym przy tym na opór państw Południa, związanych euro i tym samym uzależnionych od unijnego systemu redystrybucji. Ani na moc krajów wschodu Europy, zbyt słabych politycznie i równie uzależnionych od europejskich funduszy strukturalnych. Może i nas wysłuchają, ale ostatecznie inicjatywa reform krajów Wyszehradu odbije się od ściany interesów głównych graczy. Renegocjacja obecnych, a już tym bardziej opracowanie

nowego Traktatu, to ryzykowna zabawa, rozpisana na lata. Wystarczy przypomnieć sobie losy Konstytucji dla Europy Giscarda d'Estainga. Nowy traktat to nowe referendum w celu jego ratyfikacji. To otwarcie nowych linii sporu, bez gwarancji sukcesu. Jest to ryzyko, którego europejskie elity nie podejmą.

Bez reform i zmiany modelu integracji UE się rozpadnie. Nie z woli swoich elit, tylko wbrew nim

Bez reform i zmiany modelu integracji UE się rozpadnie. Nie z woli swoich elit, tylko wbrew nim. Eurosceptycy rosną coraz bardziej w siłę (pomijając Holandię, Francję czy Szwecję, w Czechach właśnie powstał odpowiednik Alternatywy dla Niemiec, który pracuje nad referendum ws. „Czexitu”). Najbliższe pół roku pokaże, jak Brytyjczycy poradzą sobie z Brexitem. Jeśli uda im się ułożyć relacje z Unią i skutki gospodarcze rozwoju zostaną opanowane, w takich krajach, jak Czechy, Węgry, Holandia, Dania, a nawet Francja, wzrośnie presja na rewizję więzi łączących je z Brukselą. Presja nadejdzie przy tym zarówno ze strony antysystemowej lewicy, dążącej do solidarności europejskiej, rozumianej jako uwspólnotowanie długu, jak i narodowej prawicy, walczącej nie tylko z gospodarczymi, ale także z cywilizacyjnymi skutkami globalizacji. Do tego dochodzi wyraźne słabnięcie więzi euroatlantyckiej. „Pacific pivot” i idące za nim stopniowe wycofanie się USA ze Starego Kontynentu wzmacniają tendencje do fragmentaryzacji w UE. Zjednoczona Eu-

ropa jest nierozzerwalnie związana ze światem jednopolarnym. Gdy hegemonia nie ma, bądź jest on wyraźnie osłabiony, pojawiają się nowi gracze, nowe ośrodki siły, dążące do rozbicia dotychczasowych i stworzenia nowych, korzystnych dla siebie porządków. Niemcy od dawna dryfują między więzią z Zachodem, USA i Francją, a chęcią ułożenia sobie relacji z Rosją. Jeśli nie zdarzy się więc cud, a takiego na horyzoncie nie widać, Unia Europejska jaką znamy w przeciągu najbliższych 10–15 lat zniknie.

UE w kawałkach

Zastąpią ją luźne bloki państw. Europa podzieli się na Północ i Południe. Na Północy powstanie blok składający się z państw skandynawskich, które od lat łączą więzi handlowe, umowy o wolnym przepływie osób oraz historycznie (nieudana) unia walutowa. Można sobie wyobrazić ożywienie nieco uśpionej obecnie instytucji – Rady Nordyckiej. Kolejnym blokiem będzie tzw. „Kerneuropa”, europejski rdzeń z Niemiec, Francji i krajów Beneluksu. Niewykluczone, że zachowa euro jako walutę. Zapewne jednak będzie musiał znaleźć inny model współpracy niż dotychczasowy, stworzyć nowe instytucjonalne ramy, bo kontynuacja obecnego wadliwego projektu, tylko w mniejszym składzie, wydaje się bezsensowna. Niemcy dalej będą dominowały kontynent, balansując między Wschodem a Zachodem. Rosja – jak przewiduje ośrodek „Stratfor” – będzie próbowała wywierać wpływ na sfragmentaryzowaną Europę, co najmniej przez kolejną dekadę, aż system zaprojektowany przez Władimira Putina ulegnie reformie bądź się rozpadnie. Będzie to miało poważne konsekwencje dla europejskich sąsiadów Moskwy, choć

w różnym stopniu. Militarna projekcja Rosji jest ograniczona na południu przez Karpaty, chroniące Rumunię, Węgry i Słowację. Polska i kraje bałtyckie są odsłonięte. Gwarantem bezpieczeństwa pozostanie tu NATO, jednak coraz bardziej niepewnym. Doprowadzi to do powstania

Polska i kraje bałtyckie będą zmuszone skupiać swoją energię na tworzeniu sojuszy obronnych, nie wykluczając z tego Ukrainy czy Białorusi, przy jednoczesnych staraniach zatrzymania USA na Starym Kontynencie

dwóch różnych bloków w Europie Środkowej i Wschodniej. Jeden, składający się z Rumunii, Czech, Węgier, Bułgarii i Słowacji, skoncentrowany będzie na relacjach gospodarczych z rdzeniem. Polska i kraje bałtyckie będą zmuszone skupiać swoją energię na tworzeniu sojuszy obronnych, nie wykluczając z tego Ukrainy czy Białorusi, przy jednoczesnych staraniach zatrzymania USA na Starym Kontynencie. Może to być szansą na przejęcie roli kluczowego partnera Amerykanów od Niemiec, którym transatlantyckie partnerstwo będzie coraz bardziej ciężkie.

Na Południu powstanie kolejny blok, składający się z Włoch, Hiszpanii, Portugalii i Grecji, który będzie zmagał się z poważnymi problemami gospodarczymi, kryzysem imigracyjnym i zagrożeniem terrorystycznym. Niemcy będą próbowały

przyciągnąć Hiszpanię, tak jak Francja będzie usiłowała przywiązać do siebie Włochy. Rzym i Madryt będą musiały także walczyć z tendencjami odśrodkowymi, czyli separatyzmami, które – wraz ze zniknięciem Unii jako spoiwa – się jeszcze zaostrzą. Rezygnacja z euro da im jednak realną szansę na wyjście z kryzysu i odzyskanie konkurencyjności. Z czasem Francja może odłączyć się od „Kerneuropa” i przejąć przywództwo południowego bloku.

Wraz z powrotem podziałów na kontynencie Wielka Brytania będzie mogła się znów poświęcić swojej ulubionej strategii – utrzymaniu równowagi sił, rozwijając jednocześnie sieć więzi handlowych, łączącą elementy regionalne i globalne. Bloki te będą się tworzyły powoli, w atmosferze napięcia i konfliktu. Francja będzie musiała dokonać wyboru między

Niemcami a swoimi południowymi sojusznikami, czyli zaletami i wadami zależności od najsilniejszej gospodarki, a możliwością promieniowania na region oparty na słabych gospodarkach i jeszcze słabszych instytucjach. Niektóre kraje nordyckie, jak Finlandia, będą pewnie chciały zachować euro, wbrew swoim nordyckim partnerom. Trudno to przewidzieć.

Europa wciąż zadaje sobie te same pytania i za każdym razem inaczej na nie odpowiada: Pokój westfalski stworzył system suwerennych państw; kongres wiedeński ustanowił równowagę między pięcioma mocarstwami; po drugiej wojnie światowej rozwiązaniem okazała się UE i NATO. Gdy jeden porządek ginie, powstaje kolejny. Zmieniają się tylko ci, którzy na nim korzystają. Geopolityka nie znosi próżni.

Europę uratuje tylko Imperium

Z Tomaszem Gabisiem
rozmawia Stefan Sękowski



TOMASZ GABIŚ

Publicysta i myśliciel konserwatywny

Kryzys UE to świetny moment na rozpoczęcie budowy Imperium Europejskiego. Tylko ono poradzi sobie z kryzysem migracyjnym, islamskim fundamentalizmem czy konkurencją ze strony Rosji, USA i Chin

Do czego potrzebna jest Panu Unia Europejska?

Potrzebna jest mi, tak samo jak wielu Europejczykom, nie tyle UE jako taka, co polityczna jedność Europy, której Unia jest obecnie realnym, acz wielce kalekim, ucieleśnieniem. My Europejczycy potrzebujemy poczucia, że jesteśmy silni i liczymy się w wielkiej grze o świat. Niestety, koncepcja autentycznej jedności Europy dostała się w ręce socjalistycznych, liberalno-lewicowych elit. Trzeba koniecznie wyrwać ją z rąk socjaletatystów i inżynierów społecznych wszystkich barw, trzeba ją przed nimi ratować. Należy formułować alternatywne koncepcje, aby Europejczycy poczuli, że mają przed sobą przyszłość, że ich europejska wielka ojczyzna nie zejdzie z areny historii. Dlatego od prawie 20 lat postuluję utworzenie Imperium Europejskiego. Jego powstanie mogłoby prowadzić do wewnętrznej regeneracji narodów europejskich.

Na razie mamy do czynienia z degeneracją UE. Kryzys zadłużeniowy w strefie euro, masowa imigracja z Afryki i Bliskiego Wschodu, a na dodatek Brytyjczycy właśnie zdecydowali o wyjściu z Unii.

Rzeczywiście, nie jest dobrze. Z pewnością jest to moment przesilenia, ale nie spodziewam się nagłego załamania.

Naprawdę? Do tej pory – prócz Grenlandii, ale tej nie liczę – żadne państwo z UE nie odeszło, raczej istniała tendencja do poszerzania. Wystąpienie tak wielkiego kraju może wywołać trudne do przewidzenia skutki.

To prawda, zwycięstwo zwolenników „Brexitu” to bez wątpienia bardzo mocny cios w Unię Europejską – prestiżowy, polityczny, propagandowy i psychologiczny. Jednak bardziej niż nagłego załamania spodziewam się procesu erozji, wielokie-

runkowej, powolnej dezintegracji dotychczasowej UE. Zapobiec temu mogą jedynie reformy przekształcające Unię w Imperium Europejskie.

Wydaje się, że na „Brexicie” skorzystać może oś Berlin-Paryż, której Londyn przeszkadzał w realizacji swojej polityki.

W trójce Berlin-Paryż-Londyn Berlin mógł występować w roli pośrednika między Londynem a Paryżem. Poza tym Wielka Brytania, choć poza strefą euro, znajdowała wspólny język z Niemcami, np. w kwestiach gospodarczych, rynku wewnętrznego i podobnych sprawach. Niemcy mają co prawda najsilniejsze karty w UE, ale bez wsparcia Brytyjczyków mogą być blokowani przez państwa Południa z Paryżem na czele.

Bez sprzeciwu Wielkiej Brytanii, zwłaszcza rządzonej przez torysów, łatwiej im będzie realizować plan dalszej federalizacji UE.

Klasa polityczna w Niemczech jest w tej kwestii podzielona i wcale się do tego aż tak mocno nie pali. Boi się radykalnych, ryzykownych ruchów, co wynika także ze starzenia się tego społeczeństwa. Woli bezpieczne rozwiązania i chce, „żeby było tak, jak było”. Poza tym doświadczenie „Brexitu” pokazało, że starsze pokolenie – a więc mające większe doświadczenie życiowe i polityczne – staje się coraz bardziej „eurosceptyczne”. Polityka, którą społeczeństwo niemieckie uznałoby za „awanturniczą” i związaną z jeszcze większymi ingerencjami Unii oraz z wydatkowaniem realnych pieniędzy publicznych „na Europę”, nie ma zbyt dużych szans na realizację, ponieważ Alternatywa dla Niemiec,

mająca dziś w sondażach 14%, mogłaby dostać w wyborach 25–30 % poparcia, co oznaczałoby rewolucyjną zmianę dotychczasowego niemieckiego systemu partyjnego.

Niemcy mają co prawda najsilniejsze karty w UE, ale bez wsparcia Brytyjczyków mogą być blokowani przez państwa Południa z Paryżem na czele

„Brexit” może wywołać jednak efekt domina. W wielu państwach także „starej Unii” na sile przybierają nastroje eurosceptyczne, reprezentowane choćby przez wspomnianą przez Pana AfD. Według sondaży Francuzi dziś zagłosowaliby za wyjściem z UE.

Oczywiście, „Brexit” może stać się katalizatorem procesów już występujących w krajach Unii Europejskiej, ale procesy muszą potrwać, zanim dojdzie do istotnych zmian politycznych. Pamiętajmy, że obecna konstrukcja UE jest ściśle związana z wewnętrznymi systemami ideologiczno-politycznymi w krajach członkowskich. Siły centroprawicowe i centrolewicowe wiele zainwestowały w UE – finansowo, ideologicznie, politycznie, propagandowo. To jest ich projekt i wiedzą, że jego rozpad stanowi dla nich egzystencjalne zagrożenie, a naruszenie jednego elementu narusza całą strukturę, dlatego będą temu przeciwdziałać, tworząc wielkie koalicje, bloki wszystkich partii. Zrobią wszystko, aby powstrzymać siły antyunijne, które są

jednocześnie siłami antyestablishmentowymi. Pokazały to tegoroczne wybory prezydenckie w Austrii. Lewicowiec Alexander Van der Bellen wygrał z Norbertem Hoferem tylko dzięki poparciu całego establishmentu, łącznie z biskupami katolickimi, chociaż Hofer to katolik, a Van der Bellen – ateista. Siły antyunijne, dążąc do utrwalenia tej polaryzacji, mogą wykorzystywać ewentualne referenda, jako instrument walki o władzę w kraju, aczkolwiek AfD i austriacy wolnościowcy wykazują ostrożność w tej kwestii.

W Imperium żaden kretyn z Brukseli nie będzie nam zakazywał picia w knajpie wódki w setkach i pięćdziesiątkach!

Europejskie elity mają na obecny kryzys tylko jedną odpowiedź: jeszcze więcej integracji. Martin Schulz twierdzi, że „trzeba ludziom tłumaczyć, że potrzebujemy UE bardziej, niż kiedykolwiek”, a Jean-Claude Juncker narzeka, że „mamy pełnych Europejczyków, jeśli chodzi o branie, ale jeśli chodzi o dawanie, to Europejczyków tylko na pół etatu”. Może Polska powinna więc machnąć na to ręką i sama wyjść z UE?

To byłaby niepoważna i nieodpowiedzialna polityka. Frazesami wygłaszanymi przez tak marnych polityków jak Juncker czy Schulz nie ma co sobie zawracać głowy. Jednakże koncepcja Imperium Europejskiego jest wciąż aktualna. UE może funkcjonować, tylko musi stanąć z głowy na nogi. Potrzebna jest nie integracja w ogóle,

ale „dobra integracja”. Zwolennicy Imperium chcą utrzymania jedności Europy, a jednocześnie chcą wyeliminować czynniki prowadzące dziś do konfliktów, uruchamiające siły odśrodkowe.

Jakie to czynniki?

UE za bardzo miesza się w wewnętrzne sprawy państw członkowskich. Porzuciła zasadę pomocniczości, ubezwłasnowolnia parlamenty narodowe, narzuca coraz więcej regulacji etc. Imperium Europejskie, którego budowę postuluję, byłoby strukturą głęboko zintegrowaną na płaszczyźnie polityczno-wojskowej, a jednocześnie zdecentralizowaną na płaszczyźnie ustrojowej, kulturalnej, prawnej, obyczajowej i społecznej, pozostawiając te sprawy w gestii państw wchodzących w jego skład. W Imperium nikt nam nie będzie rozkazywał, jakie żarówki wolno nam kupować, gdzie i jakie wolno nam palić papierosy, jakie ustawy wolno uchwalać naszemu parlamentowi, jak ma funkcjonować Trybunał Konstytucyjny itp. W Imperium żaden kretyn z Brukseli nie będzie nam zakazywał picia w knajpie wódki w setkach i pięćdziesiątkach!

Co miałyby scalać Imperium?

Wspólne europejskie siły zbrojne, oczywiście z zachowaniem armii lokalnych, są niezbędne do realizacji mocarstwowych aspiracji i interesów Europejczyków. Nie byłoby kryzysu migracyjnego, gdyby oddziały imperialne, zarówno lokalne (krajowe), jak i ogólnoeuropejskie, strzegły granic Europy. Innym elementem scalającym może być wspólny stosunek do Rosji, Chin i USA czy wizja Imperium, jako silnego obrońcy przed fundamentalistycznym islamem.

Ale takiego wspólnego stanowiska nie da się narzucić odgórnie. I w ramach Imperium nie porozumiemy się z państwami, które nad naszymi głowami dogadują się z Rosją np. w sprawie Nord Stream czy embarga na żywność.

Po pierwsze, kiedy nie będzie Imperium Europejskiego, to tak czy inaczej nie mamy żadnych szans, aby zapobiec dogadywaniu się większych graczy ponad naszymi głowami. Imperium tego nie gwarantuje, ale te szanse zwiększa. Państwa mają różne interesy, istnieją w nich różne orientacje polityczne. Ale tak jak istnieje wspólny

Imperium mogą zbudować wspólnie eurosceptycy i eurofederaliści

ponadpartyjny interes państwowy, tak może istnieć ponadkrajowy interes imperialny. Jeśli istnieje silny europejski ośrodek decyzyjny, to do niego możemy się odwołać. Po drugie, chodzi o to, by siadając do negocjacji np. z Rosją, obojętnie, czy rozmawia się o podziale stref wpływów, czy o innych kwestiach, Europejczycy mówili jednym głosem. Inaczej Rosja ma do czynienia z niepotrafiącą współdziałać zbieraniną. Jeśli Rosja (lub inne mocarstwo) rozgrywa nas, to Imperium musi rozgrywać Rosję. Jeśli oni prowadzą wobec nas politykę dezinformacyjną, to tylko Imperium będzie potrafiło odpowiedzieć tym samym. Jeśli oni budują tu swoje agentury, to Imperium będzie budować swoje agentury u nich. Imperium nie dałoby się rozgrywać przez siły zewnętrzne.

Kto miałby pomóc w zbudowaniu Imperium Europejskiego?

Po pierwsze eurosceptycy, po drugie eurofederaliści.

Przecież to się nawzajem wyklucza!

Gdy rozmawia się z eurosceptykami, łatwo znaleźć wspólny język na etapie radykalnej krytyki obecnej Unii. Oni mówią: „nie chcemy takiej integracji”. My, zwolennicy Imperium Europejskiego mówimy to samo. Oni swoją krytyką przygotowują grunt pod budowę Imperium. W pełni zgadzamy się z Faragem, Mariną Le Pen, Wildersem, Strachem czy Korwin-Mikkem, gdy chodzi o suwerenność ustrojową, kulturalną, prawną, obyczajową, o zachowanie i ochronę odrębności i specyfiki narodów europejskich etc. Natomiast nasze drogi rozchodzą w chwili, kiedy po wspólnej pracy negatywnej trzeba dokonać wyboru pozytywnego. Oni chcą iść z powrotem w kierunku drobnopanstwowego nacjonalizmu państwowego i „suwerenizmu”, podczas gdy my dążymy do zbudowania Imperium Europejskiego. Nie wykluczając zresztą, że może ono powstać dopiero na ruinach obecnej, być może niereformowalnej UE, doprowadzonej do aktualnego stanu przez Junckera, Merkel, Schulza, Timmermansa, Verhofstadta i innych grabarzy zjednoczonej Europy.

A eurofederaliści?

Oni także torują drogę Imperium. Ostatnio pojawił się dokument autorstwa szefów dyplomacji Berlina i Paryża Franka-Waltera Steinmeiera i Jeana-Marca Ayraulta, w którym proponuje się stworzenie europejskiego superpaństwa. Część z zawartych w nim postulatów, to tradycyjne

postulaty zwolenników Imperium Europejskiego. Stworzenie „europejskich zdolności reagowania”, „europejskich korpusów obrony cywilnej”, „europejskich służb wywiadu i kontrwywiadu” itp. – to jest w pełni zgodne z koncepcją Imperium Europejskiego (dodać należałoby europeizację broni atomowej i osiągnięcie przez UE statusu stałego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ). Natomiast z naszej strony nie ma zgody na inne postulaty obu panów, takie jak jeden europejski kodeks karny, jeden system podatkowy, jedna polityka fiskalna, jedna polityka socjalna, jedna waluta itp. Eurofederaliści chcą imperium socjalistycznego, scentralizowanego we wszystkich możliwych dziedzinach, zuniformizowanego, jeszcze bardziej ingerującego w wewnętrzne sprawy krajów europejskich i ograniczającego wolność jednostek. Jest to droga błędna, droga do przepaści, do rozpadu jedności europejskiej. Jednak nie należy tracić nadziei i przekonywać socjalistów, żeby, jeśli już koniecznie chcą, budowali socjalizm w jednym, własnym kraju, w ramach socjalizmu narodowego, ale na płaszczyźnie europejskiej niech zaakceptują ustrój konserwatywno-liberalny – silną, ale ograniczoną egzekutywę imperialną i maksymalną wolność dla jednostek, rodzin, pracowników, przedsiębiorstw oraz rzeczywistą różnorodność krajów i regionów.

Donald Tusk miał rację, mówiąc na 40-lecie Europejskiej Partii Ludowej m.in. do Merkel i Junckera, że „mając obsesję na punkcie idei ciągłej i totalnej integracji, nie zauważyliśmy, że zwykli ludzie, obywatele Europy, nie podzielają naszego euroentuzjazmu”? Tusk byłby dobrym Imperatorem?

Ależ euroentuzjastami powinniśmy być jak najbardziej, musi to być jednak euroentuzjazm właściwie ukierunkowany – ku liberalnemu Imperium-minimum, ku wolnościowemu Imperium pełniącemu rolę „stróża nocnego”, który zapewnia bezpieczeństwo oraz zajmuje się wielką polityką kontynentalną i globalną. Tusk jest zręcznym politykiem i gdyby startował na wybieranego – broń Boże w bezpośrednich wyborach, a przez elektorów z krajów europejskich – prezydenta Europy obdarzonego realną władzą, powinniśmy za nim lobbować. Jednak na tym stanowisku można sobie też wyobrazić Polaka reprezentującego inną opcję ideowo-polityczną. Przykładowo przewodniczący Prawa i Sprawiedliwości, Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” z 27 czerwca br. mówił miejscami tak, jakby cytował tezy zaczerpnięte z moich artykułów na temat Imperium Europejskiego! To dobrze wróży dla koncepcji Imperium, które z pewnością powstanie; jednak nie w przyszły weekend, tylko troszkę później.



STEFAN SĘKOWSKI

Zastępca redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”

Ile w Polsce powinno być miast?



RAFAŁ MATYJA

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”

Silne metropolie nie powinny żywić się kosztem województw, których są stolicami, ale kosztem Warszawy, która skupiła wszystkie niemal funkcje stołeczne

To nie jest pytanie z zakresu bieżącej polityki, nie zajmuje też ekspertów i twórców dziesiątek rządowych strategii. Takie pytania polska myśl polityczna pomija milczeniem – przyjmując, że decyzję w tej sprawie podejmie życie. Przyjmując, że jakakolwiek konkluzja w tej sprawie nie ma wpływu na bieg spraw państwowych. Tak jakby państwa nie budowały miast od zera (Gdynia, Stalowa Wola), nie podejmowały ich znaczącej rozbudowy (Żory) lub łączenia organizmów sąsiadujących w nowe miasta (Bielsko-Biała, Kędzierzyn-Koźle, Ruda Śląska). Jako państwo budujemy połączenia komunikacyjne, zmieniamy statusy administracyjne, budujemy i znosimy instytucje, ale udajemy, że nie ma to wpływu na układ przestrzenny kraju i warunki rozwoju miast.

By pytanie postawione w tytule miało jakikolwiek sens, należy wyjaśnić sposób liczenia, w chwili obecnej bowiem liczenie sprowadza się niemal wyłącznie do przyznawania miastom statusów administracyjnych. Z punktu widzenia polityki miejskiej państwa nie powinno być to istotne.

Nie interesuje mnie, ilu kolejnym gminom wiejskim Rada Ministrów nada prawa miejskie. Nie interesuje mnie też, ile jednostek posiada lub uzyska formalny status miasta na prawach powiatu, a ile zasłuży na przywileje metropolitalne. Liczba miast, o której mowa, to po pierwsze liczba ośrodków, które są elementem świadomej polityki rządu. Są wymieniane w dokumentach strategicznych, administracja różnych szczebli zna ich problemy, istnieją pewne przyjęte ogólnie plany zaradzenia im. Po drugie, to liczba ośrodków, które już nie z nazwy, ale na poziomie pewnych stabilnych reguł są przez politykę rządu chronione. Dziś pierwsza z tych liczb – umieszczona w Krajowej Polityce Miejskiej – to 18 miast wojewódzkich, a druga – będąca sumą liczby pozostałych miast na prawach powiatu oraz powiatów – to 380. Pierwsza jest z pewnością zbyt mała, a druga – być może – za duża.

Pierwsza liczba nie uwzględnia faktu, że różnice między należącymi do wojewódzkiej osiemnastki Wrocławiem a Zieloną Górą czy Krakowem a Gorzowem

Wielkopolskim są większe niż między małymi miastami wojewódzkimi, a największymi ośrodkami, którym tego statusu odmówiono. Ba – Częstochowa i Radom są prawie dwukrotnie większe od Opola. Bielsko-Biała ma tyle samo ludności, co Olsztyn, a więcej niż trzy inne miasta wojewódzkie. Co więcej, przyjęty model nie zostawia miejsca na metropolitalność, traktując ją obecnie wyłącznie jako element koordynacji pewnych usług publicznych na poziomie miasta i otaczających je gmin. Tymczasem rozwój miast takich jak Wrocław, Poznań czy Katowice wymaga rozstrzygnięcia kwestii kolejnego etapu decentralizacji kraju. Silne metropolie nie powinny bowiem żywić się kosztem województw, których są stolicami, ale kosztem Warszawy, która skupiła wszystkie niemal funkcje stołeczne. Skupiła je, mimo że – inaczej niż w Budapeszcie, Wiedniu czy Paryżu – nie mieszka tam wcale spory odsetek ludności kraju.

Prawo do miasta

Polityka miejska rządu – oprócz ogłoszonego w ubiegłym roku oficjalnego dokumentu – przez ostatnie dekady w zasadzie nie istniała. Zaczynijmy od tego, że wprowadzenie samorządu terytorialnego i uruchomienie procesu decentralizacji w tym samym czasie, co reformy rynkowych, stworzyło przekonanie, że rywalizacja między miastami ma się odbywać na takich samych zasadach, jak gra rynkowa, a władze samorządowe to właściwie menedżerowie, którzy rozliczani są z wyników, a w ostatnich latach przede wszystkim z poziomu wykorzystania środków europejskich. Przekonanie to pomijało niemal całkowicie fakt, że narzędzia rozwoju miast leżą w dużej mierze poza zasięgiem lokalnych władz, i że decyzje rządu, a ostat-

nie także samorządu regionalnego, mogą mieć znacząco większy wpływ – pozytywny lub negatywny – na sukces lub porażkę danego ośrodka. Tymczasem to na szczeblu centralnym dokonywano najważniejszych operacji, przesądzających o szansach rozwojowych, takich jak utrata statusu administracyjnego województwa lub uzyskanie statusu miasta powiatowego, decyzja o likwidacji dużego zakładu pracy lub instytucji publicznej czy określanie kolejności inwestycji drogowych i kolejowych.

Dobra polityka miejska i dobry ustrój miast powinny zostać ufundowane na nowocześnie rozumianym „prawie do miasta”, które przysługuje wszystkim jego użytkownikom

Drugim negatywnym zjawiskiem, towarzyszącym tym zmianom, było opaczne rozumienie pojęcia gminy, jako wspólnoty „zamkniętej” (wyborców-podatników), które zaowocowało w ostatniej dekadzie pomysłami na ograniczanie praw przyjezdnych. Dobra polityka miejska i dobry ustrój miast powinny zostać ufundowane na nowocześnie rozumianym „prawie do miasta”. Prawie, które przysługuje wszystkim jego użytkownikom. Zróżnicowanie tego prawa powinno być zredukowane do niezbędnego minimum, takiego jak np. warunki parkowania dla osób mieszkających w centrum miasta, dostęp do szkół podstawowych bliskich miejscu zamieszkania itp. Państwo powinno dbać o to, by „prawo do miasta” było prawem

wszystkich obywateli, także tych, którzy w nim nie są zameldowani, a nawet tych, którzy w nim nie mieszkają. Dziś zyskują je co najwyżej jako mieszkańcy powiatu.

Jeżeli będziemy rozumieć powszechne prawo do miasta nie tylko jako prawo do pewnych usług publicznych, ale także do korzystania z usług komercyjnych – zwłaszcza dotyczących czasu wolnego, edukacji pozaszkolnej, itp. – oraz innych funkcji przestrzeni miejskiej, to warunkiem realizacji tego prawa jest utrzymanie odpowiednio gęstej sieci żywotnych ośrodków miejskich. Sieci, w której podstawową rolę odgrywają tradycyjne stolice powiatów, a także metropolie i niezwykle ważne ośrodki średniej wielkości.

Powiat czyli lokalność

Jeżeli przyjmiemy, że pomysł na powiat powstał w wyniku poszukiwania jednostek-wspólnot, którym można by powierzyć pełnię zadań lokalnych, to miasto powiatowe jest w tej strukturze miejscem, które może skutecznie dostarczać usług publicznych, niezbędnych w życiu codziennym. Instytucja powiatu jest przy tym próbą rozwiązania finansowych i politycznych aspektów prawa do miasta, dając mieszkańcom okolicznych wsi prawo realnego wpływu na życie centrum danego powiatu.

Wielokrotnie powtarzano – tak w czasie reformy, jak i obecnie, że liczba powiatów powinna ulec zmniejszeniu do poziomu 150. Z punktu widzenia polityki miejskiej to zły pomysł. Nawet jeżeli elementem tej reformy byłyby likwidacja nieposiadających odrębnych stolic powiatów „obwarzankowych”, nadal będzie oznaczać to odebranie realnej pozycji co najmniej 100 miastom. Sieć miast powiatowych zostałaby po raz kolejny znisz-

czona. W wielu miejscach oznaczałoby to z czasem poważne uszczuplenie „prawa do miasta”.

Jeżeli dziś mówi się, że pełna realizacja zasady zrównoważonego rozwoju wymaga, by dostęp wszystkich mieszkańców do miasta wojewódzkiego środkami komunikacji publicznej zabierał najwyżej godzinę (zasada ta jest daleka od spełnienia), to w „przerzedzonych” powiatach dostęp do miasta powiatowego byłby równie problematyczny.

Dlatego, zamiast ignorującego realny kształt przestrzenny państwa i lekceważącego prawa do miasta postulatu likwidacji powiatów, należy poważnie dyskusować o zmianie ich formuły w sposób, który nie będzie stanowił kolejnego – po osłabieniu dawnych miast wojewódzkich – impulsu do „zwijania prowincji”. Kompromis w tej sprawie musi mieć przy tym charakter ustrojowy, bo centralne programy, rekompensujące utratę statusu administracyjnego, skompromitowały się bez reszty po reformie 1998 roku, kiedy to kolejne rządy nie były w stanie stworzyć realnej pomocy dla 31 średnich ośrodków miejskich, a ostatnia ekipa PO-PSL zamknęła ten okres koncepcją Polityki Miejskiej, w której cechy rozwojowe przypisano wprost jedynie 18 miastom wojewódzkim.

Średnie jest najważniejsze

W wielu, nieco idealistycznych, koncepcjach urbanistów mówi się, że optymalny ośrodek miejski powinien liczyć od 100 do 300 tysięcy mieszkańców, najlepiej blisko tej górnej granicy. Miasta takie to ośrodki ponadlokalne, mające coś do zaoferowania także mieszkańcom okolicznych powiatów, istotne w skali danego województwa.

Jeżeli jednak spojrzymy na mapę Polski, łatwo dostrzeżemy, że na sporych

połaciach kraju sieć ośrodków średniej wielkości nie spełnia – dość sztucznego zresztą – kryterium 100 tysięcy mieszkańców. Miasta takie jak Piotrków Trybunalski, Przemyśl czy Nowy Sącz odgrywają realnie rolę większą niż wskazuje na to liczba mieszkańców. Twardych wskazań należy zatem szukać w dwóch obszarach – funkcji poszczególnych miast i dostępności ośrodków średniej wielkości. Tam, gdzie nie znajdziemy miasta spełniającego wymienione wyżej kryterium ludnościowe, należy wskazać miasto mniejsze, o ile zdolne jest do pełnienia funkcji ponadlokalnych.

Podstawą nowej polityki miejskiej może stać się powszechne „prawo do miasta”, postrzegające sieć miast jako istotny zasób cywilizacyjny i rozwojowy

Wróćmy zatem do liczenia. Miasta powyżej 100 tys. mieszkańców (według ostatniego spisu powszechnego) to 39 ośrodków, w tym siedem na terenie aglomeracji łączącej Śląsk i Zagłębie. Grupę tę należałoby powiększyć w zależności od funkcji, które uznalibyśmy za kluczowe dla ośrodków średnich o kolejne kilkanaście miast pełniących istotne funkcje ponadlokalne. Na pewno nie obejmie ona wszystkich 66 miast na prawach powiatu (np. takich jak Sopot, Świnoujście czy mniejsze miasta śląskie). Możemy zatem powiedzieć, że obok około 250 ośrodków powiatowych chronionych przez ogólną

politykę rządu, powinno istnieć 50–60 miast, których rozwój byłby wspierany – w porozumieniu z samorządem lokalnym i regionalnym – niejako „imieniem”, z uwzględnieniem specyfiki każdego z nich i z pełną wolą wzmocnienia ich ponadlokalnych funkcji. Wśród nich zaś należy wskazać niewielką grupę miast, które miałyby stać się beneficjentami ostatniej dużej decentralizacji, przenoszącej instytucje centralne poza stolicę.

Rozproszenie stołeczności

Zdaję sobie sprawę, że klimat na rozmowę o rozproszeniu stołeczności pogorszył się po tym, jak PiS użył tej idei do „testowania” reakcji przy okazji walki z Trybunałem Konstytucyjnym. Jednak kwestia przenoszenia starych i – przede wszystkim – tworzenia nowych instytucji poza Warszawą to sprawa bardzo istotna, bo stanowiąca – jak wspomniano wyżej – ważny impuls rozwojowy dla miast metropolitalnych. W poprzednich dwóch kadencjach doszło przy tym do ulokowania Narodowego Centrum Nauki w Krakowie, Narodowego Instytutu Samorządu Terytorialnego w Łodzi, a Polskiej Agencji Kosmicznej w Gdańsku.

Sprawa nie jest zatem całkiem beznadziejna. Choć wydaje się, że zmiany są na razie kosmetyczne. Postawmy zatem sprawę ostrzej: stołeczne funkcje Warszawy powinny być rozproszone przynajmniej między największe metropolie. A rola Warszawy zredukowana do niezbędnego minimum, które z różnych powodów i tak będzie spore.

Na instytucjach centralnych nie powinno się jednak skończyć. Bardzo istotna byłaby też zmiana logiki działania mediów publicznych, które w całym ćwierćwieczu nie doceniły ogromnej przewagi, jaką

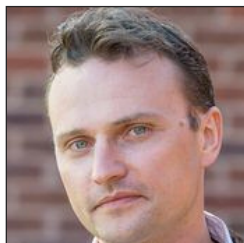
miały w stosunku do stacji prywatnych, posiadając ośrodki i spółki regionalne. Traktowano je jako „końcówki” wielkiej maszyny, z wyjątkiem krótkiego okresu, kiedy TVP2 nadawała sporo materiałów kulturalnych tworzonych w Krakowie. Jestem pewny, że Gdańsk, Wrocław i Katowice są w stanie robić dobre programy nie tylko o regionie, ale także dyskusje o sprawach kraju, programy o wadze ogólnopolskiej, które znajdą swoje miejsce także na ogólnopolskiej antenie, a nie tylko w ramach jakiegoś „rozdzielnika”.

Wzmocnić policentryczność

Nowe „liczenie miast” w Polsce powinno zamknąć upiorną politykę „statusów administracyjnych”, jako kryterium oceny

potencjału miasta, ukoronowaną przyjętą przez poprzedni rząd Krajową Polityką Miejską. W praktyce bowiem prowadzi to do traktowania statusu administracyjnego jako – jak określił to krytycznie Łukasz Zaborowski z Instytutu Sobieskiego – „koncesji na rozwój”. Zerwanie z tym – utrwalonym przez etatystyczny centralizm różnych epok – nawykiem myślowym jest ważniejsze niż zabawa w kolejne zmiany podziału administracyjnego. Podstawą nowej polityki miejskiej, jej „energiją”, może stać się powszechne „prawo do miasta”, postrzegające sieć miast, jako istotny zasób cywilizacyjny i rozwojowy. Mobilizujące miejskie elity i wzmacniające polską policentryczność, która może stać się jednym z kluczowych atutów w grze o europejskie i globalne przewagi.

Chcieliście miasta, to je macie



MICHAŁ DOMIŃCZAK

Architekt i historyk urbanistyki,
ekspert CA KJ ds. polityki mieszkaniowej

Jeśli chcemy uniknąć patologii, takich jak stawianie tuż przed oknami betonowych ścian innych bloków, miasta powinny rozwijać się jako zdecentralizowany układ mniejszych organizmów

Na początku tego roku wielu mieszkańców Warszawy zbulwersował opisywany w prasie przypadek budowy dwóch wielorodzinnych budynków mieszkalnych przy ul. Obozowej na Woli. Część mieszkańców tej dzielnicy będzie miała w odległości ośmiu metrów od okien ponurą, wysoką na kilka kondygnacji betonową ścianę. Dla jednych jest to kolejny przykład chciwości deweloperów, dla innych przypadek prawnego absurdu, jeszcze inni będą mieli dowód potwierdzający niedorozwój planowania przestrzennego w Warszawie i innych dużych miastach. Przypadek ten jest w rzeczywistości skutkiem splotu wielu czynników, stanowi też do pewnego stopnia wypadkową ogólnej sytuacji rynkowej – wysokich cen gruntów budowlanych, obowiązujących przepisów budowlanych i – last but not least – patologicznego sposobu planowania przestrzennego.

Jednak wszyscy wojujący ze *sprawlem* – rozumianym jako każdy rozwój miasta poza ścisłym centrum – miłośnicy miasta zwarte, nie powinni się właściwie

oburzać. Albo mamy wielkie, otwarte przestrzenie, albo miasto zwarte. Przecież intensywna, wysoka zabudowa mieszkalna stanowi immanentną cechę wielkiego miasta – to wręcz synonim wielkomiejowości. Bliskość zamieszkania słusznie podnoszona jest jako cecha budująca wspólnotę miejską. Zresztą w porównaniu do historycznej zabudowy takich miast jak Paryż, Londyn czy Wiedeń (o Nowym Jorku nie wspominając), ośmiometrowa przestrzeń za oknem to niemalże luksus, trudny do osiągnięcia w wielu centrach dawnych miast.

Ciężko jednak za przykład podawać dawno zarzucone rozwiązania przestrzenne, z których wyewoluowała współczesna zabudowa. Budowa dwóch wysokich budynków mieszkalnych na sąsiednich działkach bez jakiegokolwiek współpracy rzeczywiście jest patologią, która nie powinna się zdarzyć. Pojawia się pytanie: czy wynika ona z nieudolności lub złej woli, czy jest po prostu cechą zabudowy wielkomiejskiej?

Kto jest winny?

Polskie prawo budowlane bardzo dobrze reguluje problem sytuowania zabudowy i zabezpieczania dostępu światła do budynków. Jest to efekt wieloletniej ewolucji przepisów, które stopniowo modyfikowano w reakcji na wspomniane patologie dziełnastowiecznej zabudowy czynszowej.

**Zwartą zabudowę
śródmiejską zdefiniowano
w przepisach nie po to, aby
zwiększać zyski
deweloperów czy poprawiać
wykorzystanie terenu, lecz
umożliwić zabudowę
historycznych centrów
miast**

Jeśli wydano pozwolenie na budowę, w którym dopuszczono takie zbliżenie budynków, można założyć, że spełniono wymagane przez prawo warunki oświetlenia i przesłaniania. Co więcej, oznacza to, że każda ze stron je zaakceptowała, bo nikt nie odwołał się od decyzji administracyjnej, jaką jest przecież decyzja o pozwoleniu na budowę. I tak na Woli obok siebie powstały wysokie (wg definicji przepisów budowlanych „średnio wysokie”) wielorodzinne budynki mieszkalne, liczące od 5 do 7 pięter wysokości.

Sześć kondygnacji to co najmniej 18 metrów. Zgodnie z prawem, w przypadku sytuowania zabudowy w sąsiedztwie ściany z oknami, budynek powinien stanąć

nie 4 metry od granicy działki, ale – ze względu na ochronę prawa widoku i światła sąsiadów – w tzw. odległości przesłaniania, która w tym przypadku wynosi mniej więcej 16–17 metrów! Tak się jednak nie stało.

Ponieważ, jak informują media, obydwa budynki wzniesiono zgodnie z obowiązującymi przepisami, to prawdopodobnie przyczyną zaistniałej sytuacji jest fakt uznania terenu inwestycji za tzw. obszar „zwartej zabudowy śródmiejskiej”. Tylko taki zapis w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego lub warunkach zabudowy umożliwi zmniejszenie opisywanej powyżej odległości między budynkami o połowę. Nasuwa się jednak pytanie: czy ta część Woli to rzeczywiście „obszar funkcjonalnego śródmieścia, który to obszar stanowi faktyczne lub przewidywane w miejscowym planie zagospodarowania przestrzennego centrum miasta lub dzielnicy miasta”? Taka jest bowiem definicja terenu, na którym można tworzyć „zwartą zabudowę śródmiejską”.

Zwartą zabudowę śródmiejską zdefiniowano w przepisach nie po to, aby zwiększać zyski deweloperów czy poprawiać wykorzystanie terenu, lecz umożliwić zabudowę historycznych centrów miast. Bez tego budowa czegokolwiek np. w śródmieściu Łodzi, Poznania czy Krakowa byłaby praktycznie niemożliwa. Jednak nadużywanie rozwiązań przeznaczonych dla wyjątkowych sytuacji, może prowadzić do patologii. Rejon Obozowej z pewnością nie spełnia definicji „centrum miasta lub dzielnicy miasta”. Zresztą sprawa wygląda dość dziwnie, ponieważ z zapisów obowiązującego miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego obszaru Młynowa nie wynika, aby opisywany teren został uznany za obszar zabudowy śródmiejskiej. Jeśli nie było innych przyczyn,

najprawdopodobniej winę za zaistniałą sytuację w największym stopniu ponoszą osoby odpowiedzialne za planowanie przestrzenne i budownictwo w dzielnicy Wola.

Chytry dwa razy traci

Mimo wszystko wolski przypadek z ulicy Obozowej wydaje się być raczej odosobnionym wypadkiem przy pracy niż powszechnym standardem w budownictwie mieszkaniowym. Ot, spełniło się polskie przysłowie, że chytry dwa razy traci. Każdy z deweloperów chciał być sprytniejszy od sąsiada, a w efekcie każdy stracił. Niestety stracili również mieszkańcy, nieświadomi niuansów planistycznych i sąsiedzkiego konfliktu między przedsiębiorcami.

Receptą na patologie wielkomiejskiej zabudowy jest harmonijny rozwój przestrzenny – pozyskiwanie i właściwa zabudowa nowych terenów, tak wewnątrz, jak i na zewnątrz miast

Mieszkania, z których widać w odległości ośmiu metrów betonową ścianę powinny być po prostu tańsze (w budynku przy ul. Obozowej z pewnością są już tańsze). W normalnej sytuacji niższa jakość niektórych mieszkań pod względem oświetlenia i widoku, nieunikniona w zwartej zabudowie miejskiej, skutkować powinna niższą ceną. A to czyniłoby je bardziej dostępnymi dla osób o mniejszych

możliwościach finansowych. Cały kłopot tkwi w tym, że ich właściciele nikt nie poinformował przed zakupem o tym, co ujrzą za oknem. Pechowi nabywcy tych lokali powinni spróbować wystąpić o odszkodowanie, być może to samo mógłby zrobić jeden z deweloperów.

Zatem opisany przypadek to jeszcze jeden dowód na to, że polski system planowania rozwoju miast jest niewydolny.

Co można zrobić, aby przypadki takie jak ten z warszawskiej Woli nie zdarzały się w naszych miastach?

Z pewnością konieczna jest reforma sposobu planowania, zwłaszcza wprowadzenie obowiązku szerokiej informacji na temat projektowanych przedsięwzięć. I nie chodzi tu bynajmniej o konsultacje społeczne (bo te dotyczą wyłącznie obecnych mieszkańców), lecz raczej o powszechny system informacyjny, pozwalający potencjalnym nabywcom nieruchomości na uzyskanie wiedzy o tym, czego mogą się spodziewać się w swoim sąsiedztwie. Dzisiejsze techniki wizualizacji umożliwiają przecież tworzenie ogólnodostępnych makiet cyfrowych, przedstawiających i symulujących np. docelową formę zabudowy, w tym maksymalną wysokość, kubaturę i odległości między budynkami.

Ponieważ jedną z przyczyn opisanych patologii jest występowanie dużego popytu na przestrzeń mieszkalną, przy ograniczonej podaży terenów budowlanych, nasuwa się prosty wniosek – albo ograniczymy popyt, albo zwiększymy podaż. To pierwsze nie byłoby chyba korzystne, to drugie jest jak najbardziej możliwe.

Zdecentralizować miasta

Receptą na patologie wielkomiejskiej zabudowy jest harmonijny rozwój przestrzenny – pozyskiwanie i właściwa za-

budowa nowych terenów, tak wewnątrz, jak i na zewnątrz miast. Temu pierwszemu służy szeroko pojęta rewitalizacja, drugim odpowiednie planowanie nowych osiedli w gminach podmiejskich wraz z rozwojem szybkiego i bezpiecznego transportu publicznego.

Wciąż w miastach istnieją niemałe możliwości zwiększenia podaży terenów budowlanych. W samej Warszawie znajduje się ogromny zasób niewykorzystanych terenów kolejowych i wojskowych, który, jak usłyszeliśmy z ust m.in. ministra Macierewicza, liczy co najmniej kilkadziesiąt hektarów. A rewitalizacja to nic innego, jak odpowiednie wykorzystanie istniejących zasobów, do tej pory z różnych względów zaniedbanych i ekstensywnie użytkowanych.

Jednak kluczem do harmonijnego rozwoju jest rozbudowa sieci transportowej, zwłaszcza tej najbardziej efektywnej, czyli metra i kolei miejskiej. Wielka Warszawa, jak i inne miasta, powinna rozwijać się jako zdecentralizowany układ mniejszych organizmów miejskich, którymi mogą być zarówno stare dzielnice, jak i włączane stopniowo okoliczne, satelitarne miejscowości. Każde z własnym lokalnym centrum usługowym, wyposażonym w odpowiedniej jakości przestrzeń społeczną. Tylko takie działania, wsparte rzecz jasna lepszym prawem i odpowiednim planowaniem, pozwolą unikać patologii w zabudowie.

Nigdy nie należy jednak zapominać, że miasto jest organizmem żywym, którego przyszłości nie można całkowicie przewidzieć i zaplanować. Na szczęście.

Kuszące owoce zatrutego drzewa



TOMASZ PUŁRÓL

Prawnik, publikuje we „Wprost” i „Kurierze Słupskim”, były Prezes Stowarzyszenia KoLiber

W sporze o dopuszczalność bezprawnie zdobytych dowodów rząd PiS i RPO popadają w skrajności. Możliwe jest jednak rozwiązanie jednocześnie uderzające w przestępców i utrudniające służbom nadużycia

Chyba każdy kojarzy słynny film „Brudny Harry”, w którym tytułowy bohater, grany przez Clinta Eastwooda, w bezpardonowy sposób rozprawia się z przestępcami. To dzieło zdobyło na tyle dużą popularność, że „Brudny Harry” funkcjonuje w popkulturze jako symbol gliniarza, działającego na granicy prawa, stawiającego skuteczność w wymierzaniu sprawiedliwości zdecydowanie ponad przestrzeganiem przepisów i procedur. Dziś w jego rolę w polskich realiach wydaje się wcielać minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, który już w trakcie swojej poprzedniej kadencji zapracował sobie na wizerunek bezwzględnego szeryfa. Zarówno w retoryce, jak i w podejmowanych inicjatywach legislacyjnych wyraźnie widać, że dążenie do wykrycia i ukarania sprawcy przestępstwa jest dla niego, a tym samym dla instytucji, którą kieruje, zdecydowanie ważniejsze niż rygorystyczne trzymanie się zasad praworządności i swobód obywatelskich. Co jakiś czas słyszymy z ust ministra i jego współpracowników, że trzeba zaostrzyć prawo karne, zwiększyć upraw-

nienia organów ścigania i bezlitośnie ścigać przestępców. Jednym z efektów takiego podejścia jest nowelizacja wprowadzonej przez poprzedni rząd zasady, zgodnie z którą niedopuszczalne było przeprowadzanie i wykorzystywanie dowodów uzyskanych do celów postępowania karnego za pomocą przestępstwa.

Sędzia arbitrem, nie stroną

W lipcu 2015 roku weszła w życie przygotowana przez rząd PO-PSL gruntowna reforma procedury karnej, której celem była zmiana kształtu dotychczasowego procesu karnego. Do tego czasu obowiązywał model mieszany, któremu bliżej było do tzw. procesu inkwizycyjnego, czyli takiego, w którym rola organu prowadzącego postępowanie jest bardzo rozbudowana. Postanowiono nieco zmodyfikować kształt naszej procedury w kierunku tzw. procesu kontradyktoryjnego, charakteryzującego się większą rolą inicjatywy stron, a mniejszym zaangażowaniem sądu. W uzasadnieniu do projektu

nowelizacji autorzy wskazywali, że poprzedni model postępowania karnego jest nieefektywny, charakteryzuje się nadmierną przewlekłością oraz niewystarczającą dbałością o swobody obywatelskie (np. w kwestii długości stosowania tymczasowego aresztowania). Przyczyn takiego stanu rzeczy upatrywano m.in. w nieprawidłowym rozłożeniu ciężaru odpowiedzialności za proces, czy też w zbędnym angażowaniu sędziów w czynności,

Teraz sąd, zamiast brać aktywny udział w ustaleniu stanu faktycznego, ma być bezstronnym arbitrem, który rozstrzyga sprawę, bazując przede wszystkim na dowodach dostarczanych przez spierające się strony procesu

które mogłyby być wykonywane przez strony. Teraz sąd, zamiast brać aktywny udział w ustaleniu stanu faktycznego, ma być bezstronnym arbitrem, który rozstrzyga sprawę, bazując przede wszystkim na dowodach dostarczanych przez spierające się strony procesu. Wśród licznych zmian w przepisach kodeksu postępowania karnego rozszerzono między innymi możliwość dostarczania przez strony dowodów prywatnych (co jest logiczną konsekwencją wprowadzenia zasady kontradyktoryjności).

W związku z oddaniem stronom uprawnień do pozyskiwania na własną rękę dowodów, postanowiono w sposób jasny uregulować budzącą ogromne kon-

trowersje kwestię możliwości wprowadzenia do procesu dowodów, które zostały uzyskane z naruszeniem prawa. Przyjęto zasadę, zgodnie z którą niedopuszczalne jest przeprowadzenie i wykorzystanie dowodu uzyskanego do celów postępowania karnego za pomocą przestępstwa. Przepis ten wykluczyć miał m.in. możliwość instalowania na zlecenie strony procesowej podsłuchów czy dokonywania przesłuchania. Jednocześnie nie ograniczał on możliwości przeprowadzania czynności operacyjnych przez odpowiednie organy, w ramach ustalonych w odpowiednich ustawach uprawnień. Krótko mówiąc, od tej pory wszelkie dowody zdobyte do celów postępowania karnego w sposób niezgodny z prawem nie mogły być brane pod uwagę, nawet jeśli były jedynymi w danej sprawie.

Zmiana z polityką w tle

Nie spodobało się to nowemu rządowi stworzonemu przez Prawo i Sprawiedliwość. Przywołując stanowisko PiS warto pamiętać również o politycznym kontekście sporu o dopuszczalność korzystania z nielegalnie zdobytych dowodów, czyli o sprawie posłanki Sawickiej i późniejszym skazaniu Mariusza Kamińskiego. To właśnie błędy proceduralne podczas przeprowadzenia czynności operacyjnych doprowadziły do takiego wyniku całej sprawy.

W uzasadnieniu projektu nowelizacji kodeksu postępowania karnego autorstwa obecnego rządu zasadniczo zgodzono się z większością diagnoz zawartych w uzasadnieniu do projektu PO-PSL, takich jak problem nadmiernego formalizmu, czy też zbędnego angażowania sądu w sytuacjach, gdy dana czynność może być wykonana przez inne podmioty. Właściwie jedyna polemika z poprzednią nowelizacją

dotyczyła właśnie kwestii kontryktoryjności postępowania. W ocenie autorów uzasadnienia nowego projektu, zasada ta jest ważna, ale nie powinna przesłaniać dążenia do prawdy materialnej, która jest nadrzędną zasadą postępowania karnego. Należy zatem wrócić do mieszanego modelu inkwizycyjno-kontryktoryjnego, zachowując część reform poprzedniego rządu i modyfikując te, które w ocenie autorów mogą utrudnić dojście do prawdy. Zaproponowano między innymi wykreślenie zakazu korzystania z nielegalnie pozyskanych dowodów i uznanie dowodu za niedopuszczalny tylko wtedy, gdy został uzyskany w związku z pełnieniem przez funkcjonariusza publicznego obowiązków służbowych, w wyniku: zabójstwa, umyślnego spowodowania uszczerbku na zdrowiu lub pozbawienia wolności. Uzasadniając tę zmianę autorzy projektu ustawy stwierdzili, że stary przepis zbyt wiele zakazuje, niezależnie od okoliczności uzyskania danego dowodu, podczas gdy każdy taki przypadek powinno się rozpatrywać indywidualnie, z uwzględnieniem wszystkich aspektów sprawy, w oparciu o ogólnie przyjęte zasady w dorobku orzecznictwa i doktryny w perspektywie ostatnich kilkudziesięciu lat. Nowelizacja w zaproponowanym przez rząd PiS-u kształcie oczywiście została przyjęta i weszła w życie.

Owoce zatrutego drzewa

Na tym sprawa się jednak nie zakończyła. Wmieszał się w nią bowiem Rzecznik Praw Obywatelskich, który 6 maja złożył wniosek do Trybunału Konstytucyjnego o zbadanie zgodności z Konstytucją nowego brzmienia, regulującego dopuszczalność korzystania z nielegalnie zdobytych dowodów. Według RPO dopuszczenie dowodów pozyskanych w wyniku

przestępstwa prowadzi do bardzo niebezpiecznego założenia, że organy państwa, które zobligowane się do działania w ramach prawa i tylko na podstawie kompetencji nadanych im przez prawo, mogą w niektórych sytuacjach działać niezgodnie z prawem. Taki stan rzeczy w ocenie rzecznika narusza choćby zasadę zaufania obywateli do państwa, a więc tym samym uderza w podstawy państwa prawa. Wniosek trafił do TK i czeka na rozpatrzenie. Biorąc pod uwagę raczej dominujący dotychczas w doktrynie i orzecznictwie negatywny pogląd na temat dopuszczalności korzystania z nielegalnie zdobytych dowodów, jest prawdopodobne, że Trybunał uzna ten przepis za niezgodny z Konstytucją.

**Przywołując stanowisko PiS
warto pamiętać również
o politycznym kontekście
sporu o dopuszczalność
korzystania z nielegalnie
zdobytych dowodów, czyli
o sprawie posłanki Sawickiej
i późniejszym skazaniu
Mariusza Kamińskiego**

Sama idea wprowadzenia zakazu korzystania z nielegalnie zdobytych dowodów pochodzi z systemu prawnego USA. Jej źródła upatrywać należy w regule wyłączenia dowodów (exclusionary rule) oraz doktrynie „owoców zatrutego drzewa” (fruit of the poisonous tree). Pierwsza z nich wywodzi się z czwartej poprawki do amerykańskiej konstytucji, która zakazywała dokonywania przez policję

bezpodstawnych przeszukań i konfiskat. Zdobyte w ich wyniku dowody nie mogą zostać dopuszczone do procesu. Natomiast doktryna „owoców zatrutego drzewa” dotyczy metaforycznie określonej sytuacji, w której organ postępowania korzysta z dowodów zdobytych w wyniku działania niezgodnego z prawem. Określenie to zostało po raz pierwszy użyte w 1939 roku przez sędziego Felixa Frankfurtera w sprawie *Nardone v. United States*. Dziś zasada wyłączenia nielegalnie zdobytych dowodów jest powszechnie stosowana w USA.

Dla zachowania zasad praworządności i logiki systemu prawnego musimy oczywiście przyjąć ogólną zasadę zakazu korzystania z nielegalnie zdobytych dowodów, wychodząc z założenia, że organy państwa nie mogą działać niezgodnie z prawem

Nie znaczy to jednak, że wszyscy ją akceptują. Doktryna ta jest bowiem jednym z wielu przykładów rozwiązań trudnych, granicznych zagadnień prawa, które z istoty swej zawsze budzić będą kontrowersje. I podobnie jak przy innych tego typu tematach, zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy danego rozwiązania mają solidne argumenty. Z jednej strony wytaczane są bowiem ciężkie działa w postaci konieczności ochrony praworządności, tak jak we wspomnianym wniosku RPO, który

podnosi, że niedopuszczalne jest, byśmy godzili się na to, żeby prawo pozwalało na niezgodne z prawem działania organów państwa. Dopuszczenie nielegalnych dowodów stwarza ogromne możliwości nadużyć i spore zagrożenie dla naszej wolności i prywatności. Z drugiej jednak strony, przeciwnicy doktryny owoców zatrutego drzewa wskazują, że owszem, praworządność i swobody obywatelskie są ważne, ale nie zapominajmy o tym, że najważniejszym celem postępowania karnego jest ochrona pokrzywdzonego i ukaranie sprawcy, dlatego należy do tego dążyć niemalże wszelkimi środkami, również korzystając z nielegalnych dowodów. Sam fakt zdobycia danego dowodu w nielegalny sposób nie powoduje przecież, że ów dowód jest nieprawdziwy.

Przeciw skrajnościom

Tu potrzeba kompromisu, twarde przyjęcie jednego z dwóch skrajnych stanowisk (reprezentowanych w naszych realiach przez rząd PiS i RPO) rodzi bowiem wskazane wyżej niebezpieczeństwa. Dla zachowania zasad praworządności i logiki systemu prawnego musimy oczywiście przyjąć ogólną zasadę zakazu korzystania z nielegalnie zdobytych dowodów, wychodząc z założenia, że organy państwa nie mogą działać niezgodnie z prawem. Zgodnie jednak ze słynnym powiedzeniem, że wyjątek potwierdza regułę, należałoby dokładnie zastanowić się nad wprowadzeniem uzasadnionych wyjątków również od tej reguły. Przede wszystkim wzorem USA powinniśmy sformułować klauzulę dobrej wiary, która mogłaby polegać na tym, że nie jest podstawą do odrzucenia danego dowodu sam fakt złamania przez organy ścigania jakichś procedur, jeśli do ich przekroczenia doszło w sposób niez-

mierzony albo w błahych sprawach (jak np. biurokratyczne omyłki). Należałoby również rozważyć kwestię dopuszczalności nielegalnie zdobytych dowodów w przypadku najpoważniejszych przestępstw. Mogłaby tu bowiem znaleźć zastosowanie znana w prawie karnym instytucja tzw. kontratypu stanu wyższej konieczności, który wyłącza bezprawność danego czynu zabronionego w sytuacji, gdy został on dokonany w celu ratowania wyższego dobra. I wreszcie, nie można rozpatrywać zagadnienia dopuszczalności owoców zatrutego drzewa bez odpowiedniego ure-

gulowania uprawnień organów ścigania. Jeśli będą one zbyt szerokie, to wtedy doktryna ta stanie się bezprzedmiotowa, bo służby będą mogły praktycznie wszystko, a jeśli zbyt wąskie, to wtedy wzrośnie siła jej przeciwników.

Takie albo zbliżone do nich rozwiązania byłyby optymalnym wyjściem z tego trudnego sporu. Obawiam się jednak, że podobnie jak w innych kontrowersyjnych tematach, do tego nie dojdzie, bo klimat toczonych w naszym życiu publicznym dyskusji zdecydowanie nie sprzyja merytorycznym refleksjom.

Koniec narodowców



STEFAN SĘKOWSKI

Zastępca redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”

Endecja jako integralny ruch polityczny jest anachronizmem. Dlatego kolejne jej emanacje także poniosą klęskę

W kwietniu klub Kukiz'15 opuścił prezes Ruchu Narodowego Robert Winnicki. Przyczyną miało być rzekome łamanie kręgosłupów moralnych posłów K'15 w sprawie aborcji – jednak to tylko czubek góry lodowej, bowiem narodowcy mieli być od dłuższego czasu sekowani przez kierownictwo frakcji. W klubie zostało jednak kilku posłów RN, którzy razem z publicystą Rafałem Ziemkiewiczem założyli Stowarzyszenie Endecja, mające realizować ideały narodowej demokracji i kształcić prawicowe elity.

W ten sposób ostatecznie rozpadł się ruch kulturowo-polityczny, którego liderzy jeszcze kilka lat temu zapowiadali długi marsz przez instytucje. Wcześniej środowisko opuścił Obóz Narodowo-Radykalny, z partii wykruszył się także były kandydat na prezydenta Marian Kowalski, zakładając Stowarzyszenie Narodowcy RP. Ci, którzy głosili, że nie interesują ich wyłącznie stołki w parlamencie, a udział w wyborach uznają za podsumowanie, a nie cel swojej działalności, rozbili się właśnie o skały polityki partyjnej.

Polityczny antykwaryzm

Oczywiście Ruch Narodowy będzie istniał, organizował manifestacje i zebrania, napisze ten czy inny program, pozbiera podpisy pod projektem ustawy – także inne neoendecckie ugrupowania nie zamierzają zasypywać gruszek w popiele – z nieśmiertelną Ligą Polskich Rodzin na czele, której ostatnimi dokonaniem są m.in. oświadczenia z okazji 90. rocznicy zamachu majowego, życzenia z okazji 80. urodzin Macieja Giertycha i stanowisko wobec sytuacji politycznej w Polsce, w którym LPR nawołuje prezydenta Andrzeja Dudę do zaprzysiężenia wybranych w poprzedniej kadencji sędziów Trybunału Konstytucyjnego, a premier Beatę Szydło do opublikowania orzeczenia TK w sprawie Wiadomej Ustawy. LPR dziękuje Giertychowi m.in. „za odbudowę i kształtowanie autentycznego Ruchu Narodowego, czyli ideowego i politycznego spadkobiercę wielkiego dzieła Romana Dmowskiego, najpierw jako Stronnictwo Narodowe, a potem jako Liga Polskich Rodzin”, po-

zostałe oświadczenia przepojone są bohaterką walką z piłsudczyzną i „przedstawicielem cywilizacji wschodniej (turańskiej)” Jarosławem Kaczyńskim za pomocą cytatów z endeckiego historyka Władysława Konopczyńskiego i nawiązań do myśli Feliksa Konecznego.

**Polscy nacjonaści nie
odnaleźli się w kraju swoich
marzeń – państwie
kapitalistycznym, które
przeszło emancypacyjną
rewolucję społeczną, bez
znaczących mniejszości
narodowych, z zachodnią
granicą opartą na Odrze**

Ale na tym to się skończy. Bo ruch narodowy (pisany tu z małej litery) we współczesnej Polsce to właśnie tacy antykwaryści – którzy do zaudzenia będą zarzucali nas cytatami z Romana Dmowskiego, wskazywali na aktualność idei narodowej i usiłowali ją dopasować do współczesnych realiów. Trudno się dziwić, w końcu Roman Dmowski – zanim zżarła go antysemicka obsesja – był jednym z największych polskich mężów stanu swojej epoki, a ruch narodowy (przed zgnieceniem przez sanację) najsilniejszą siłą polityczną II RP. Takie próby są jednak z góry skazane na niepowodzenie – i były skazane już od 1989 roku, z powodu zerwania ciągłości z II RP. Zresztą to nie tylko „endecka” specyfika – w Polsce nadal istnieje chadeckie Stronnictwo Pracy, które swój program wyborczy w ubieg-

łym roku zaczęło od... wyliczenia swoich historycznych zwolenników (m.in. Ignacego Paderewskiego i gen. Władysława Sikorskiego). Nie lepiej wygląda sytuacja u pogrobowców Polskiej Partii Socjalistycznej. Ot, zabawa dużych chłopców i dziewczynek w historyczne przebieranki. Nie miałyby to żadnego znaczenia, gdyby ludzie – często z dużym potencjałem i będący już w samym środku polityki – nie starali się z uporem godnym lepszej sprawy tej nieszczęsnej endecji wcisnąć do rzeczywistości: że może jednak coś przetrwało i będzie można kultywować tradycję autorów młodzieńczych czytanek. Dla Roberta Winnickiego fundamentalną kwestią jest wojna kulturowa. Z kolei dla Rafała Ziemkiewicza to zawrócenie Polski ze ślepej uliczki wojny plemiennej, oderwanie polityki od różnic tożsamościowych i kulturowych między Polakami i oparcie jej na wspólnocie interesów, wyrwanie naszej ojczyzny z rąk „towarzyszów Szmaciaków”, dojących ją w ramach „predatory state” i „uczynienie Polski Wielkopolską Europą”.

Realizm? Jaki realizm?

„Twardzi” narodowcy słusznie podkreślają, że wcale nie trzeba być endekiem, by głosić takie poglądy. Głosząc te słuszne zresztą hasła RAZ mógłby równie dobrze napisać „Współczesną pracę u podstaw” czy „Tekę neostańczyka” i nie ma żadnego powodu, by wiązać je właśnie z tradycją narodowo-demokratyczną. Powiem więcej: endek nie może być realistą politycznym, dlatego właśnie, że jest endekiem. Bo można pozować na realistę, powtarzać w nieskończoność frazę o państwach mających interesy, a nie przyjaciół, a być skończonym doktrynerem, którego podejście do rzeczywistości ma tyle wspólnego z polityką, że przykrawa ją do swoich

wyobrażeń. Nieracjonalną jest w obecnej sytuacji geopolitycznej propozycja wyjścia Polski z Unii Europejskiej czy wymaganie od rządu, by nie szedł z Brukselą na absolutnie żadne układy, np. w kwestii imigrantów (o ile jest szczerze, a nie tylko służy do podbicia piłeczki i zmuszenia rządu do przyjęcia mocnego stanowiska). Niezbyt przekonująco brzmi także w połączeniu z owym „realizmem” kult Żołnierzy Wyklętych. Można oddać należyty honor bohaterstwu żołnierzy, którzy poszli do lasu często dlatego, że za walkę o niepodległość groziła im śmierć ze strony nowego okupanta, ale trzeba też krytycznie patrzeć na oderwaną od rzeczywistości strategię polityczną, stojącą za tym antykomunistycznym powstaniem – a tego narodowcy nie robią. Na gloryfikacji narodowyzwoleńczej walki, prowadzonej przez skazaną na wyniszczenie garstkę partyzantów, trudno jest budować „Wielkopolską Unii Europejskiej”, zważywszy na fakt, że Wielkopolanie swoje dwa zwycięskie powstania rozpoczęli wtedy, kiedy mogli je wygrać, a nie wtedy, kiedy skłaniał ich do tego wewnętrzny imperatyw.

Myślę zresztą, że neoendecy czczą „Wyklętych” przede wszystkim dlatego, że dużą część z nich stanowili żołnierze Narodowych Sił Zbrojnych czy Narodowego Zjednoczenia Wojskowego; to więc swoisty hołd złożony „swoim”. Nie potrafiąc odsiać ziaren od plew, wybielają zbrodniarzy takich jak Romuald Rajs „Bury”, używając dokładnie tych samych argumentów, co Ukraińcy negujący rzeź wołyńską. I nie przepuszczą okazji, by naszego wschodniego sąsiada nazwać „państwem banderowskim” tylko dlatego, że część jego mieszkańców gloryfikuje UPA, choć wszyscy doskonale wiedzą, że robią to ze względu na jej antysowieckość, a nie antypolskość. Ich stosunek do na-

szych wschodnich sąsiadów to w ogóle ciekawy przypadek rzekomego „realizmu”, którego symbolem jest mówienie przez przechodzącego polityczny kryzys wieku średniego Artura Zawiszę, że „będą słyseć Lwów i Wilno krok polskich żołnierzy”. To stanowisko zresztą w magiczny sposób spleta się z antyukrainizmem i rusofilią, skądinąd określanego przez młodszych narodowców mianem „endekomuny” środowiska „Nowej Myśli Polskiej”.

Kultura nowoczesnego endeka

Chcący kształcić przyszłe elity narodowcy mają niestety także problem z polityczną kulturą, która prowadzi do deprecjacji często słusznych postulatów. Neoendecy mogą setki razy powtarzać, że przedwojenny antysemityzm endeków to rzecz zaprzeszła, a tak w ogóle to nie miał on podłoża rasistowskiego, tylko ekonomiczne, ale gdy na oficjalnym profilu na Facebooku Ruch Narodowy chce uderzyć w Aleksandra Kwaśniewskiego czy Marka Siwca, to robi to publikując ich zdjęcie z brodatymi Żydami. Gdy Młodzież Wszechpolska informację o masakrze w klubie gejowskim w USA okrasza biblijnym cytatem sugerującym, że homoseksualiści „sami tę śmierć na siebie ściągnęli”, to nie tyle manifestuje swój sprzeciw wobec politycznej poprawności, co po prostu wyklucza się z cywilizowanej dyskusji. Dramatem współczesnych narodowców jest to, że przynajmniej częściowo wywodzą się oni z lumpenproletariackich środowisk kibicowskich i są nadal od nich zależni. I oczywiście – część z nich „wyszła na ludzi” i robi wspaniałe rzeczy. Ale można pisać tysiące laurek o tym, że kibole to tak naprawdę grzeczni chłopcy, przeprowadzający staruszki przez ulice, a i tak po wielu meczach nadal trzeba

będzie naprawiać zdemolowane przystanki autobusowe. Liderzy narodowców chętnie mówią o swojej formacyjnej pracy z kibicami, ale obawiam się, że jej główny efekt polega na tym, że podczas ustawek (jak niedawno w Marsylii) krzeselkami i flarami obrzucają się po prostu kibole, wytatuowani w husarskie skrzydła czy hasła wspominające „Wyklętych”. Nie mówiąc już o tym, że zależność pretendującego do rządzenia krajem nurtu politycznego od zwykłej subkultury jest dość kompromitująca.

**Dziś, gdy pewne paliwo
neoendekom może dać
kryzys uchodźczy, ich
etniczny nacjonalizm będzie
ich nieuchronnie zsuwał
w kierunku ksenofobii
motłochu**

Wbrew pozorom wcale nie potępiam w czambuł neoendeków. Jedną z pozytywnych postaci sejmu został Tomasz Rzymkowski (Kukiz'15 i „Endecja”), wykrywający kompromis dotyczący Trybunału Konstytucyjnego (który zresztą i tak nie dojdzie do skutku, bo nie zależy na tym ani rządowi, ani KOD-owskiej opozycji). Wiele ciekawych myśli można znaleźć na łamach „Polityki Narodowej” czy w piśmie „Myśl.pl”. Świetną robotę wychowawczą robi np. Towarzystwo Gimnastyczne Sokół, opierające się na narodowcach, potencjał badawczy w dziedzinie ekonomii ma także Centrum im. Władysława Grabskiego. Nie ma także nic złego w tym, że próbuje się sięgać po klasyków – głupio byłoby to

zresztą pisać na łamach miesięcznika odwołującego się do jeszcze starszej, polskiej tradycji republikańskiej. Tylko że w wydaniu neoendeków to wszystko się nie klei – narodowcy nie zauważają powodów, dla których ich wszystkie dotychczasowe inicjatywy polityczne po 1989 roku poniosły klęskę i nie rozumieją, dlaczego kolejne też poniosą. Stanie się tak nie tylko ze względu na brak doświadczenia i „niezłomność”, cechującą jednoznaczne ideowo środowiska. Polscy nacjonaści nie odnaleźli się w kraju swoich marzeń – państwie kapitalistycznym, które jednak przeszło emancypacyjną rewolucję społeczną, bez znaczących mniejszości narodowych, z zachodnią granicą opartą na Odrze.

Sztandar – wyprowadzić!

Dzieje się tak w dużej mierze przez polityczny antykwaryzm, który każe w obecnej Polsce widzieć kontynuację II RP, z którą ma ona tyle wspólnego, co II RP z Rzeczpospolitą Obojga Narodów. Ale także dlatego, że narodowców zawsze napędzał wróg. Kiedyś był to niemiecki kolonista czy żydowski sklepikarz, którego łatwo było zidentyfikować – po wyglądzie, języku, wyznawanej religii. Dziś to tak już nie działa, ale nawet gdyby działało, to to, co pomaga w defensywie, nie pomaga budować: także dziś, gdy pewne paliwo neoendekom może dać kryzys uchodźczy, ich etniczny nacjonalizm (i ekskluzywny katolicyzm) będzie ich nieuchronnie zsuwał w kierunku ksenofobii motłochu, zresztą skierowanej nie tylko przeciwko imigrantom, ale także „litewskim chamom” czy „pederastom”. Abstrahując od tego – endecki szyld już naprawdę mało kogo grzeje. Głównie odstrasza (mniejsza o to, czy słusznie).

Nie znaczy to oczywiście, że narodowcy powinni teraz rozpląnąć się w powietrzu, ale powinni zrozumieć, że ruch narodowy – choć inspirujący – jest jako integralny ruch polityczny zwykłym anachronizmem. Część narodowców to chyba rozumie i – a oskarżajcie mnie państwo o wskazywanie „zwycięzcy” najnowszego sporu w endeckiej rodzinie, co mi tam – wyciąga wnioski, tak jak ludzie skupieni

wokół „Endecji”, którzy za swoje hasło przyjęli „Polska dla wszystkich Polaków”. Co prawda od swojego pierwowzoru się znaczeniowo nie różni, ale już samo to, że brzmi inaczej, wskazuje na jego bardziej włączający charakter. To dobre na pierwszy krok. Endecy, zaśpiewajcie ostatni raz „Hymn młodych” i idźcie naprzód. Ale już bez Miecza Chrobrego.

NATO na krawędzi



JACEK BARTOSIAK

Stały współpracownik „Nowej Konfederacji”,
ekspert ds. geopolityki CA KJ,
doktor nauk społecznych

Ustalenia, do których ma dojść na szczycie NATO w Warszawie, nie zmienią naszej sytuacji strategicznej w Europie. Dlatego musimy opracować nową, własną strategię obronną

Lord Hastings Lionel Ismay, pierwszy sekretarz generalny NATO, sprowadzał rolę tej organizacji w czasie zimnej wojny do trzech zadań: Rosjan trzymać z daleka, Amerykanów przy sobie, a Niemców pod kontrolą. Zimna wojna dawno się skończyła, Rosja okupuje Krym i wschodnią Ukrainę, Amerykanie dokonują „pivotu” na Pacyfik, mają własną debatę na temat zaangażowania w świecie i nie palą się do poważnego zaangażowania w Europie. Niemcy natomiast sprzeciwiają się rozlokowaniu dodatkowych sił Paktu Północnoatlantyckiego w naszym kraju. Dla Polski obecność wojskowa Sojuszu to racja stanu, dla Niemiec niepożądany wzrost napięcia w stosunkach z Rosją. Zbliżający się szczyt NATO w Warszawie ma być szansą na nową definicję modus operandi Paktu.

Miara naszych ambicji

Wyniki poprzedniego szczytu, który odbył się dwa lata temu w Newport osłabiły zaufanie narodów Europy Środkowo-

-Wschodniej – w tym Polaków – do Sojuszu Północnoatlantyckiego, jako niezawodnego gwaranta naszego bezpieczeństwa. Powód pierwszy i najważniejszy to – w odbiorze opinii publicznej – podział sojuszników na dwie klasy przez podtrzymanie „Aktu Założycielskiego o Wzajemnych Stosunkach, Współpracy i Bezpieczeństwie” z Rosją, który ogranicza obecność sojuszniczych sił jądrowych i bojowych sił konwencjonalnych na terytoriach Polski i pozostałych nowych państw członkowskich.

Na szczycie w Newport ustalono rotacyjne rozlokowanie batalionów NATO na wschodniej flance. Do dziś ustalenia te nie zostały spełnione. Dopiero szczyt w Warszawie ma potwierdzić, że tak rzeczywiście się stanie, i przynieść nam nowe gwarancje bezpieczeństwa. Dodatkowo na wschodniej flance ma zostać rozlokowany sprzęt jednej brygady pancerniej US Army. Będzie on stacjonował na terenie siedmiu państw – Estonii, Litwy, Łotwy, Węgier, Rumunii, Bułgarii i Polski – co dziewięć miesięcy. Mimo iż jest to krokiem

do przodu, należy sobie zadać pytanie: czy to wystarczy? czy to jest miarą naszych ambicji? Tym bardziej, że będzie to obecność rotacyjna. Nie zmieni to zasadniczo naszej sytuacji strategicznej w Europie.

**W czasach zimnej wojny
Amerykanie musieli być
obecni w Europie
i utrzymywać tu ciężkie
dywizje. Rosja nie jest
jednak już dziś dla USA
pierwszorzędnym
zagrożeniem**

Na dodatek można mieć przed szczytem uzasadnione wątpliwości co do tego, czy zawarte na nim ustalenia pozostaną w mocy po wyborach prezydenckich w USA. W Stanach Zjednoczonych toczy się bardzo poważna debata na temat zaangażowania Waszyngtonu na arenie międzynarodowej, czyli dalszego utrzymania i finansowania tak zwanej „wysuniętej obecności sił zbrojnych USA”. Kwestionuje to między innymi kandydat Republikanów na prezydenta Donald Trump. Do tego dochodzą Brexit i geopolityczne napięcie w Europie, czyli tworzenie się nowego układu sił. Wielka Brytania to jeden z filarów NATO. Brexit osłabia spójność Sojuszu.

Rosja nie jest dla USA zagrożeniem

Nie da się także ukryć, że to, co Amerykanie nam oferują, nie wiąże im rąk. Pozwala im elastycznie reagować na za-

grożenia. Chodzi o to, byśmy dalej wierzyli w prymat amerykański, utrzymywany jednak jak najmniejszym kosztem. Amerykanie nie wychodzą w pełni z Europy, zostają tu punktowo, zachowując sobie tzw. punkty wejścia i wyjścia poprzez rotacyjną obecność, która ich nic nie kosztuje, jest ruchoma. Dzisiaj są, jutro ich nie ma. Obecność ta wynika z faktu, iż Amerykanie zaniepokoiłi się, że możemy uznać, że w ogóle wycofują się z Europy. Postanowili więc podjąć kroki, by przekonać nas, że traktują bezpieczeństwo Europy Wschodniej poważnie. To nie jest równoznaczne, jak wieszczą niektórzy, z powrotem USA na Stary Kontynent. Amerykanie obecnie mają wiele pożarów do zgaszenia, w tym na Bliskim i Dalekim Wschodzie. I coraz mniej na to pieniędzy. W czasach zimnej wojny Amerykanie musieli być obecni w Europie i utrzymywać tu ciężkie dywizje. Rosja nie jest jednak już dziś dla USA pierwszorzędnym zagrożeniem. Amerykanie nie chcą, by ich żołnierze byli zakładnikami naszej polityki wobec Rosji. Gdyby w Polsce była stała baza, to byłaby ku temu okazja. Jednobiegunowy świat supremacji USA należy najwyraźniej do przeszłości, ze względu na wzrost Chin, słabnięcie ogólne Zachodu, a także rewizjonistyczną politykę Rosji. Sęk w tym, że jesteśmy przedmiotem gry między mocarstwami, a te kilka batalionów zupełnie nie wystarczy do realnego odstraszania Rosji w przypadku wojny konwencjonalnej.

Nowa wielka strategia

Oznacza to, że musimy opracować nową wielką strategię. Powinniśmy budować własne siły zbrojne, autonomiczne, niezależne od NATO, Stanów Zjednoczonych, z naszym dowodzeniem i zdolnościami

operacyjnymi. Musimy tworzyć własne systemy rozpoznawcze i samodzielnie operować, nie licząc na NATO, bo możemy się przeliczyć. Musimy w zakresie tej wielkiej strategii badać nieustannie stan linii komunikacyjnych z państwami morskimi, czyli USA i Wielką Brytanią, które są naszymi sojusznikami. Bo może się okazać, że nie będą w stanie przyjąć nam z pomocą, a innych sojuszników, patrząc realistycznie, nie mamy, może z wyjątkiem państw skandynawskich, które nie licząc Norwegii i Danii, są poza NATO.

**Świata, który istniał, gdy
my wchodziliśmy do NATO,
już nie ma. Im prędzej
to zrozumiemy,
tym lepiej dla nas**

Niemcy będą po Brexicie grać coraz bardziej kontynentalnie, na co wskazują wypowiedzi szefa dyplomacji Niemiec Franka-Waltera Steinmeiera, który przed szczytem NATO w Warszawie nazwał manewry Anakonda-16 „symbolicznymi paradami czołgów”. Brexit oraz fakt, że USA nie będą miały twardej obecności w Europie jeszcze ośmieli Niemcy do prowadzenia własnej gry. Słabość USA pozwala Niemcom na prowadzenie polityki imperialnej, a Berlin potrzebuje Rosji w celach utrzymania równowagi sił w Europie da-

jącej w oczach Berlina stabilizację. Berlin potrzebuje także rynków na Wschodzie. Jesteśmy zatem, jako Polska, na bardzo wysuniętej pozycji strategicznej. Tylko przez teren Niemiec bądź Bałtyk Amerykanie mogą przyjąć nam z pomocą. To znaczy, że także i my musimy grać we własną grę. Tym bardziej, iż także USA mogą potrzebować w pewnym momencie Rosji. Dla Ameryki Rosja nie stanowi obecnie zasadniczego zagrożenia. Jest zbyt słaba. Nie mamy więc z Waszyngtonem tożsamości interesów w zakresie polityki na kierunku rosyjskim.

Realne bezpieczeństwo

Musimy zastanowić się, jak silne jest realnie NATO, jak silne są realnie USA. Powinniśmy także opracować spójną strategię względem Rosji. Retoryka tu na długo nie wystarczy. Ewentualny upadek prymatu USA byłby niebezpieczny dla Polski, ponieważ groziłby powrotem koncertu mocarstw bądź chaotycznym balansowaniem w celu uzyskania nowej równowagi, co mogłoby doprowadzić do napięć i wojny. Wówczas mielibyśmy albo bardzo silną Polskę, która byłaby w stanie być silniejsza od Rosji, bądź nie mielibyśmy przestrzeni na naszą niepodległość pomiędzy tymi państwami. Świata, który istniał, gdy my wchodziliśmy do NATO, już nie ma. Im prędzej to zrozumiemy, tym lepiej dla nas. Poczucie bezpieczeństwa nie jest równoznaczne z realnym bezpieczeństwem. Zobaczymy, co nam przyniesie szczyt NATO.

Awansujemy w chińskiej hierarchii



WOJCIECH TOMASZEWSKI

Biznesmen, pasjonat tematyki azjatyckiej

Wizyta prezydenta Chin w Polsce pokazała, że w oczach Chińczyków przestaliśmy być peryferiami. Mamy stać się strategicznym partnerem, nie tylko na papierze

Samolot nie każdego zagranicznego prezydenta odwiedzającego nasz kraj jest eskortowany przez polskie myśliwce. Tego rodzaju asysta w świecie polityki jest traktowana jako specjalne wyróżnienie. Dołączył go w czerwcu bieżącego roku składający wizytę w Polsce prezydent Chin, Xi Jinping, przyjęty u nas z pełnymi honorami. Na symbolach się nie skończyło – spotkanie było sporym sukcesem.

Kim jesteśmy dla Chin?

Chiny, zgodnie ze swoim wielowiekowym systemem wartości, obejmującym hierarchizowanie ludzi, rzeczy i spraw, podzieliły świat na regiony i przyznały każdemu odpowiedni status z punktu widzenia własnych interesów. Dla Chin najważniejszy jest ten region, w którym się znajdują, czyli Azja Wschodnia. Drugą grupę stanowią: USA (główny konkurent polityczny oraz największy partner handlowy jako kraj), Bliski Wschód (główny dostawca surowców energetycznych) oraz Europa Zachodnia (największy partner gospo-

darczy jako region). Trzecią grupę stanowią regiony lub kraje, które są z różnego powodu dość ważne dla Chin. To są przede wszystkim dostawcy surowców: region Ameryki Południowej, region Afryki oraz Rosja. Do tego grona należy zaliczyć też Indie, z którymi Chiny coraz bardziej będą rywalizowały o dominację w Azji. Czwartą grupę stanowią regiony o znaczeniu więcej niż przeciętnym: Azja Środkowa i Australia. Do ostatniej grupy wchodzi zaś regiony bez specjalnego znaczenia dla Kraju Smoka, takie jak Ameryka Środkowa czy Europa Środkowo-Wschodnia. Widziane z Pekinu mogły wyglądać jak polityczny plankton na mapie świata. Zbiór drobnych państw. Warto zaznaczyć, że przywódcy Chin odwiedzając te dwa regiony bardzo często aranżowali spotkania z całą grupą państw, nie chcąc tracić czasu na spotkania bilateralne.

To się jednak zmienia i wiele wskazuje na to, że nasz region będzie traktowany wyżej niż region Ameryki Środkowej i zostanie przez Chiny bardziej doceniony. Do tej pory brak specjalnego zaangażo-

wania Chin w naszym regionie wynikał z prostej kalkulacji. Tu nie było ani wielkich zasobów surowców energetycznych, ani wielkiego kapitału, a rynek konsumencki nie jest tak rozbudowany, jak w zachodniej części naszego kontynentu.

Do tej pory brak specjalnego zaangażowania Chin

w naszym regionie wynikał z prostej kalkulacji. Tu nie było ani wielkich zasobów surowców energetycznych, ani wielkiego kapitału, a rynek konsumencki nie jest tak rozbudowany, jak w zachodniej części naszego kontynentu

Dziś ta geopolityczna hierarchia zaczyna się zmieniać. Chiny nie porozumiały się z USA co do wzajemnego statusu w świecie. Nie przyjęły amerykańskiej propozycji stania się junior-partnerem, z kolei Amerykanie nie dali pozytywnej odpowiedzi na propozycję równego partnerstwa, którą im złożył Xi Jinping podczas swojej pierwszej wizyty w USA w 2013 r. Zamiast wspólnego rządzenia światem rozpoczęła się rywalizacja. Dla Chin oznaczało to konieczność dalszego szukania przyjaciół w świecie, a także szukania miejsc do inwestycji dla swoich inwestorów, mających coraz więcej wolnych mocy produkcyjnych. To jest główny powód wzrostu znaczenia Europy Środkowo-Wschodniej z jej największym krajem – Polską. Stąd też,

oprócz spotkań w znanej formule „16+1”, coraz częstsze wizyty chińskich liderów w poszczególnych krajach regionu. Xi Jinping był w tym roku w Czechach, w Serbii i w Polsce. Nasz kraj ponadto znajduje się na jednej z głównych tras multibilionowego projektu Nowego Jedwabnego Szlaku, znanego obecnie pod nazwą Jeden Pas, Jedna Droga. To strategiczny projekt, a właściwie zbiór setek infrastrukturalnych inwestycji od Chin po Europę. Jego budowa ma na celu przyspieszenie wymiany handlowej pomiędzy Chinami a Europą i zwiększenie dostaw drogą lądową, bardziej bezpiecznych niż drogą morską, ze względu na możliwość blokady morskiego transportu, np. w Cieśninie Malakka.

Co Państwo Środka oferuje Polsce

Wizyta prezydenta Chin, będąca szybką rewizytą, podkreśla wzrost znaczenia Polski w oczach Chin. Pekin mimo wstrzeźmieliwej polityki Polski (brak polskiego premiera na spotkaniu „16+1” w Belgradzie w 2014 r., długie wahanie się z przystąpieniem do AIIB) dość konsekwentnie stawiał na nasz kraj. Dla Chin Polska jest miejscem na jeden z dwóch największych węzłów komunikacyjnych i logistycznych w Europie na ich transportowej drodze. W Polsce, a konkretnie w Łodzi, ma powstać centrum komunikacyjno-logistyczne, skąd będą rozchodziły się transporty chińskich towarów do różnych krajów Europy. Wybór Polski to nie tylko kwestia geograficzna, ale też geopolityczna. Chińczycy wolą stworzyć tu centrum niż np. w Niemczech, które bardzo by chciały mieć je u siebie. Niemcy to partner silniejszy niż Polska. Wolą ich nie wzmacniać.

Podobną rolę, ale jako największy hub morski, ma odegrać port w Pireusie,

którego większość udziałów jest już w chińskich rękach. Chińczycy chcieliby połączyć Pireus z Łodzią. W Serbii, gdzie Xi Jinping był bezpośrednio przed wizytą w Polsce,

W Łodzi ma powstać centrum komunikacyjno-logistyczne, skąd będą rozchodziły się transporty chińskich towarów do różnych krajów Europy. Wybór Polski to nie tylko kwestia geograficzna, ale też geopolityczna

Chińczycy budują autostradę E75, która połączy Belgrad z Budapesztem. Prowadzą również rozmowy w celu budowy wielkiego centralnego lotniska, położonego pomiędzy Warszawą a Łodzią i połączonego z kilkoma miastami kolejami dużych prędkości. Budowa tego lotniska w kooperacji polsko-chińskiej, to ogromna szansa na przejęcie części rynku przewozów lotniczych w Europie Środkowej. Chińczycy są także zainteresowani infrastrukturalnymi inwestycjami w Polsce (nowe szlaki komunikacyjne, rozbudowa portów).

Przełom pełen konkretów

Wizyta Xi Jinpinga zakończyła się sukcesem. Dokonano otwarcia politycznego na współpracę gospodarczą. To jest niezbędny warunek robienia biznesu z Chinami. Oficjalnie podwyższono poziom współpracy ze „strategicznego partnerstwa” na „kompleksowe strategiczne partnerstwo”. Pod-

pisano 40 różnych umów, w tym w sprawie inwestycji infrastrukturalnych, umowę o współpracy w zakresie pokojowego wykorzystania kosmosu, a także m.in. trzy ważne memoranda: w sprawie współpracy przemysłowej, w sprawie łączności informacyjnej obszarów Nowego Jedwabnego Szlaku i w sprawie współpracy inwestycyjnej w zakresie infrastruktury logistycznej. Otwierają one drogę do budowy wspomnianego centrum w Łodzi, a także specjalnych stref dla kapitału chińskiego na Pomorzu. Na wizycie skorzystały również polskie firmy, które będą m.in. eksportować do Chin wieprzowinę i jabłka. Swoje umowy podpisały też m.in. przedsiębiorstwa z branży lotniczej i farmaceutycznej.

Ważne były także pewne uzgodnienia polityczne, zawarte poza formalnymi umowami. Chińskie plany pokrycia Międzymorza siecią szybkich szlaków komunikacyjnych, skutkujące zacieśnieniem relacji gospodarczych krajów naszego regionu, wykazują synergię z podobnymi planami zacieśnienia współpracy, propagowanymi przez prezydenta Dudę (grupa ABC). W wymiarze praktycznym może się to przełożyć na przyspieszenie inwestycji Via Carpathia.

Po drugiej stronie mostu

Czy to oznacza, że w stosunkach polsko-chińskich nastąpił przełom? Na pewno we wzajemnym postrzeganiu się. W ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy w świadomości polskich elit politycznych nastąpiła zmiana. Przestano postrzegać Chiny jako państwo głównie opresyjne, a zaczęto je widzieć jako bogatego inwestora. Zmiana rządu w Polsce tylko przyspieszyła ten proces, zwłaszcza że plan Morawieckiego wymaga niemałych funduszy na inwesty-

cje. Serdeczność, z jaką przyjmowano chińskiego gościa to potwierdza. Chiny stawiają na Polskę, widzą w niej kraj po pierwsze gotowy do szerokiej współpracy gospodarczej, a po drugie – jak powiedział Xi Jinping – „leżący na krańcu euroazjatyckiego mostu”, dla Chin w optymalnym położeniu. Mając niemal do perfekcji opisaną zasadę: rządź i dziel, zrobiły już pierwszy krok. Zniosły embargo na polską wieprzowinę oraz podpisały umowę o imporcie naszych jabłek, mimo że same są największymi producentami tych owoców na świecie.

To dopiero początek drogi. Do tej pory Polska na mapie chińskich inwestycji

praktycznie nie istniała. Nawet w Serbii, o wiele mniejszej od Polski, chińskie inwestycje były dwukrotnie większe. Nie można oczywiście w tej chwili mówić o zasadniczym przełomie, ale furtka do niego została otwarta. Dla Polski, próbującej się wydobyć z neokolonialnej gospodarczej zależności, chiński kierunek jest doskonałą szansą na dywersyfikację relacji gospodarczych, zarówno inwestycyjnych, jak i handlowych. Trzeba jednak pamiętać, że Chińczycy to partner trudny, bardzo dbający o własne interesy, mający inny system wartości. Z tego względu prowadzenie rozmów i interesów z nim wymaga wyjątkowej uwagi i cierpliwości.

Polska w afrykańskim zwierciadle



ANDRZEJ MELER

Specjalista ds. badań i analiz
rynku prasowego i i internetowego

Dla polskiego czytelnika, w miarę świadomego, w jakim punkcie historii znajduje się teraz nasz kraj, lektura „Amerykaany” będzie czymś w rodzaju odkrycia własnych cech w swoim rodzeństwie

Zanim sięgnąłem po powieść „Amerykaana” autorstwa Chimamandy Ngozi Adichie postrzegałem Nigerię jako kraj odległy mi kulturowo i społecznie. Po prostu „Afryka dzika”. Jedyne więzi tego kraju z Polską łączyły się z piłkarzem Emmanuelem Olisadebe, który w roku 2002 błyskawicznie dostał polskie obywatelstwo, aby móc zagrać w reprezentacji.

Na pewno nie jestem jedynym człowiekiem, na którym książka nigeryjskiej pisarki wywarła duże wrażenie. Brytyjski „The Guardian” napisał, że jest to jedna z tych książek, które jednocześnie opowiadają ciekawą historię i zmieniają sposób patrzenia na świat. Książka dostała nagrodę Chicago Tribune Heartland oraz nagrodę amerykańskiego National Book Critics Circle.

Porównywać Afrykę do Polski

W odbiorze tej książki na świecie, przede wszystkim w Stanach Zjednoczonych, dominuje wątek problemów rasowych, który rzeczywiście jest w książce mocno wyek-

sponowany. Jednak moje spostrzeżenia chciałbym pokierować w stronę wątku, który pojawił się w powieści dość nieoczekiwanie. Znajdujemy w niej takie zdanie:

„Tutaj na studiach podyplomowych nie można studiować tylko Afryki. Można porównywać Afrykę do Polski albo do Izraela, ale żeby skupić się tylko na Afryce?”

Autorka nie kontynuuje tego śladu, a tymczasem po lekturze „Amerykaany” nasuwa mi się tak dużo podobieństw między Nigerią i Polską, że skłonny jestem zaryzykować kilka socjologicznych uogólnień na temat społecznego kształtu świata, w którym żyjemy. Czy można lepiej zrozumieć Polskę czytając o Nigerii końca wieku XX i początku XXI? Czy jest możliwe dobre uogólnienie na podstawie wskazania punktów wspólnych w dwóch społeczeństwach? Cóż, w matematyce do wytyczenia prostej wystarczą dwa punkty. Jeżeli zatem uogólnienia poczynione przeze mnie będą proste – tym lepiej dla czytelnika.

„Amerykaana” to opowieść młodej kobiety i młodego mężczyzny z Nigerii:

Ifemelu i Obinze, których miłość i losy plotą się w ciągu kilkudziesięciu lat, na przestrzeni których osadzona jest fabuła. Przelatanie to w dużym stopniu uzależnione jest od zewnętrznych procesów społecznych, które kształtują współczesną Nigerię i współczesny, globalny świat. Dla polskiego czytelnika, w miarę świadomego, w jakim punkcie swojej historii znajduje się teraz nasz kraj, lektura „Amerykaany” będzie czymś w rodzaju odkrycia własnych cech w swoim rodzeństwie.

Od dyktatury do neoliberalizmu

Pierwsze podobieństwo między Polską i Nigerią zawiera się w historii. Tak jak dorośli ludzie w rozmowie z nieznanymi rówieśnikami odkrywają czasami, że w dzieciństwie lubili te same bajki, zabawki, a będąc nastolatkami słuchali tej samej muzyki, tak czytając powieść można odnieść wrażenie, że losy Nigerii i Polski w ostatnich 30 latach były do siebie częściowo podobne. W skrócie można by je opisać jako przejście od dyktatury do neoliberalnej gospodarki, w którą jak huragan uderzył zagraniczny kapitał z bogatych krajów Zachodu. Doświadczenia ciągle powtarzających się strajków, gospodarki niedoborów i prób uzyskania wizy do lepszego świata były udziałem Polaków i Nigeryjczyków. Potem w obu krajach pojawiły się globalne nurty. Serial „Friends”, który oglądała główna bohaterka w Nigerii, był też chętnie oglądany przeze mnie w Polsce.

Zmiana systemu politycznego istotnie zaburzyła utarte struktury społeczne, możliwe stały się kariery od pucybuta do milionera, ale też i w drugą stronę. Obszar eksploracji zagranicznych koncernów jest inny, bo w Nigerii chodzi o surowce, głównie o ropę naftową, a w Polsce bardziej

o tanią siłę roboczą oraz o rynek zbytu dla gorszej jakości towarów. Jednak cechą wspólną tej ekspansji dla Nigerii i dla Polski jest wytworzenie się klasy społecznej lokalnych zarządców, którą w dużej mierze stanowią menedżerowie globalnych koncernów. W tej roli łatwiej znaleźć się tym, którzy wcześniej doświadczyli dłuższego pobytu w krajach globalnego centrum. Niezależnie od tego, czy tam studiowali, czy pracowali, odbyli kulturowy trening, dzięki któremu mogą lepiej komunikować się z nowymi kolonizatorami. Zagadką pozostaje, czy dokonują oni tylko wiernego naśladowstwa, czy faktycznie socjalizują się do wzorów z innego kręgu kulturowego.

Losy Nigerii i Polski w ostatnich 30 latach były do siebie częściowo podobne. W skrócie można by je opisać jako przejście od dyktatury do neoliberalnej gospodarki, w którą jak huragan uderzył zagraniczny kapitał z bogatych krajów Zachodu

Ten wątek pojawia się losach Obinze, który jako młody imigrant w Wielkiej Brytanii dziwi się snobistycznemu zachowaniu swojego przyjaciela z czasów szkolnych, a kilka lat później, jako dojrzały biznesmen i „ważny człowiek” w swoim kraju narzeka, że jego dawni koledzy i przyjaciele zachowują się w stosunku

do niego w sposób zbyt unizony, nie uważając, że to on się zmienił. Z czasem to, co wydawało mu się spełnieniem marzeń, staje się ciężarem. Pójście na zbyt wiele kompromisów w imię wygodnego życia zaczyna przytłaczać, a młodzieńcze ideały znowu zaczynają być wartością, o którą warto powalczyć. Rozterki osób, którym ciężką ograniczenia systemu społecznego, są na każdej szerokości geograficznej zdumiewająco podobne.

Ludzie chcą, abyś kradł

Konsekwencją podobnych losów historycznych są też podobne patologie życia publicznego. Jedną z nich jest korupcja. Problem z korupcją polega na tym, że jest ona wszędzie. Niektórym wystarczy tylko to, żeby z nią nie walczyć. Polskie i nigeryjskie doświadczenia w tej materii mają punkty wspólne. Porównajmy dwa poniższe opisy. Pierwszy pochodzi z analizy socjologicznej autorstwa Andrzeja Zybertowicza i dotyczy sytuacji w naszym kraju:

„Gdy opinia publiczna, media, a zwłaszcza urzędnicy administracyjni widzą, że instytucje kontrolne odpowiedzialne za napiętnowanie łamania reguł nie reagują przy nadużyciach na wielką skalę, to tworzy to aurę przyzwolenia do takich działań na wszelkich szczeblach”.

A teraz coś o realiach nigeryjskich, zaczerpnięte z „Amerykaany”:

„Naprawdę trudno być uczciwym urzędnikiem w tym kraju. Wszystko jest tak zorganizowane, żeby człowiek musiał kraść. A najgorsze, że ludzie chcą, abyś kradł. Krewni chcą, abyś kradł, przyjaciele chcą, abyś kradł”.

Jedną z konsekwencji rozrostu korupcji jest blokowanie awansu społecznego zwłaszcza młodych ludzi. I w Polsce, i w Nigerii proces ten przebiegał podobnie.

Wędrowka na Północ

Drugie ważne zjawisko, które w podobny sposób dotyka Nigerii i Polski to emigracja. Wiele osób, pragnąc realizować swoje życiowe aspiracje, decyduje się na czasową lub stałą przeprowadzkę poza ojczyznę. W takiej sytuacji jest dwoje bohaterów książki. Kierunki ich emigracji są dokładnie takie, jak wielu Polaków od 30 lat, czyli Stany Zjednoczone i Europa Zachodnia. Różnica dotyczy tylko nazewnictwa. Dla Polaków to wędrowka na Zachód, dla Nigeryjczyków to wędrowka na Północ. Jak widać, najnowsza historia Polski nie jest bardzo oryginalna. Kiedy żmudnie próbujemy uświadomić światu, że nasz los, nasza „Solidarność”, nasze obalenie komunizmu było wyjątkowe, to pamiętajmy, że ten świat, do którego kierujemy naszą kampanię reklamową, ma do wyboru wiele takich jak nasz przypadków. Sam fakt, że stworzyliśmy szeroki ruch społeczny i uważamy, że obaliliśmy dyktaturę, nie daje nam powodu do spoczęcia na laurach czy zadowolenia się ciepłą wodą w kranach. Jeśli się tak jednak stało, to stare sformułowanie o „100 latach za Murzynami” przestałoby być niepoprawnym politycznie żartem i stałoby się smutną rzeczywistością.

Nigeryjczycy w tym wyścigu do światowych centrów cywilizacyjnych już na starcie mają łatwiej, bo język angielski, współczesna lingua franca jest jednym z ich języków ojczystych. Chociaż ten język jest pozostałością z czasów kolonialnych, to nie wyczuwałem w narracji nigeryjskiej autorki, żeby traktowała to jako upokorzenie. Raczej był on, w swojej nigeryjskiej odmianie, elementem jej tła kulturowego, co zostaje symbolicznie podkreślone poprzez dumny powrót do nigeryjskiego akcentu, który na początku

pobytu w Stanach główna bohaterka skutecznie maskowała.

Ciekawy jest też wątek rasowy. Emigrujący na Zachód/Północ Polacy i Nigeryjczycy spotykają się w kraju docelowym ze zjawiskiem, które u nich nie występuje: rasizmem. Rasizm i walka z nim to ważne elementy dyskursu publicznego, kształtujące relacje w U.S.A. i Wielkiej Brytanii. Dla mnie dużą moc odkrywczą miało stwierdzenie głównej bohaterki, że o rasizmie wobec czarnych dowiedziała się w U.S.A. W jej kraju, gdzie w zasadzie wszyscy są czarni, takie zjawisko nie występuje. Dopiero zamieszkując w multi-rasowym społeczeństwie poznała jego niuanse. Dla bohaterki powieści jej spostrzeżenia na temat rasizmu w U.S.A.

Kierunki emigracji

Nigeryjczyków są dokładnie takie, jak wielu Polaków od 30 lat. Różnica dotyczy tylko nazewnictwa. Dla Polaków to wędrówka na Zachód, dla Nigeryjczyków to wędrówka na Północ

stają się sposobem aktywności intelektualnej, skanalizowanej poprzez blog pod tytułem „Obserwacje czarnych Amerykanów czarnej nie-Amerykanki”. Również Obinze ma wiele rozmyślań na temat różnic kulturowych i rasowych, które on z kolei obserwuje w Wielkiej Brytanii, jako pracujący nielegalnie student-imi-grant. Czasami możemy w Polsce spotkać osoby, które w metropoliach świata nau-

czyły się o rasizmie i potrzebie walki z nim. Potem wracają do jednolitego rasowo kraju i uporczywie szukają elementów rasizmu, z którymi mogliby walczyć. Ale to temat na inną opowieść.

Trudne powroty

I nigeryjscy, i polscy emigranci tęsknią za ojczyzną. Powrót to jeden z ważnych wątków powieści, a bogactwo opisu rozterek procesu decyzyjnego wydaje się bardzo autentyczne, szczególnie gdy wiemy, że doświadczenia emigracyjne autorki i głównej bohaterki są zbieżne:

„A mimo to miała w duszy kamień. Tkwił w niej już od jakiegoś czasu, w czasie porannego, chorobliwego znużenia, w poczuciu beznadziei, bezpaństwowości. Wraz z nim pojawiła się amorficzna tęsknota, bezkształtne pragnienia, przelotne wyobrażenia o życiu, jakie mogłaby mieć, które w miarę jak upływały kolejne miesiące, złyły się w przejmującą tęsknotę za domem. Przeszukiwała nigeryjskie strony internetowe. Nigeryjskie profile na Facebooku. Nigeryjskie blogi. I z każdym kliknięciem odkrywała kolejną historię młodego człowieka, który właśnie wrócił do domu, przyodziały w amerykańskie bądź brytyjskie tytuły naukowe, żeby otworzyć firmę inwestycyjną, zająć się produkcją muzyczną, modą, wydawaniem czasopisma, założyć franczyzową restaurację z fast foodem”.

Rozterki polskich emigrantów znamy dobrze co najmniej od czasów wielkiej emigracji w latach 30. XIX wieku, ówcześni wielcy artyści często byli emigrantami. Bardziej współcześnie rozterki te można usłyszeć np. w rapowym utworze „Pamiętaj” (Funky Polak):

„Telefony do domu godziny przegadane.

Listy i zdjęcia, oczy zapłakane, trudne pytania.

Ciągle te same – jak mi tu jest, wróć czy zostanie...”.

Według badania Narodowego Banku Polskiego, którego wyniki opublikował w kwietniu 2015 Puls Biznesu, ponad połowa polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii nie zamierza wracać. Z kolei co trzeci Polak w Niemczech kupił tam już dom lub mieszkanie. Chociaż Polaków za granicą jest coraz więcej, to według danych NBP coraz mniej pieniędzy przesyłają do kraju. To bardzo wymowny wskaźnik rozluźniania więzi z ojczyzną. Tymczasem bohaterowie „Amerykaany” wracają. Odnajdowanie się w starej/nowej rzeczywistości to proces jednocześnie tak delikatny i dynamiczny, jak wykrecanie glinianych garnków na kole. Główna bohaterka przed powrotem szuka zakładu fryzjerskiego, w którym mogłaby zapleść tradycyjne, afrykańskie warkoczyki. Wracając chce wyglądać tak, jakby nic się w niej nie zmieniło. Dokłada też starań, żeby nie mówić z amerykańskim akcentem. Bardzo symboliczny moment, który potwierdza, że kultura, z której wyrastamy, nawet gdy przegrywa w globalnej konkurencji, w odczuciu osobistym jest najlepsza, najbardziej prawdziwa. To poczucie ujawnia się również wtedy, gdy mowa w powieści o wychowaniu dzieci na obczyźnie.

Ojczyzna to raj na ziemi

Pobyt na obczyźnie u obojga bohaterów powieści sprzyja autorefleksji, której życzyłbym każdemu emigrantowi z Polski. Bohaterowie „Amerykaany” wracają do ojczyzny bogaci w wiedzę fachową, ale jednocześnie z przeświadczeniem, że kulturowo ich ojczyzna jest dla nich miejscem lepszym, bardziej logicznym i lepiej ro-

kującym na przyszłość. Może niekoniecznie jest to raj w zakresie dobrobytu ekonomicznego, ale za to zdrowia psychicznego na pewno.

„Naprawdę trudno być uczciwym urzędnikiem w tym kraju. Wszystko jest tak zorganizowane, żeby człowiek musiał kraść. A najgorsze, że ludzie chcą, abys kradł. Krewni chcą, abys kradł, przyjaciele chcą, abys kradł”

W przypadku Polaków jest raczej odwrotnie: uciekają od nienormalności do normalności. Tak pisze jeden z emigrantów w artykule pod tytułem „Dlaczego nie wrócić?”:

„Jedyne zaskoczenie to to, że nie czuję się lepszym człowiekiem. Jestem natomiast bardzo szczęśliwy z faktu, że nie czuję się gorszy. Niebo, piwo i samochody są prawie takie same, ale jako rezydent jestem tutaj lepszy niż obywatel w swojej Polsce”.

W aktualnej sytuacji na świecie i w Polsce, gdy czujemy potrzebę przyspieszenia w wyścigu gospodarczym z innymi, gdy czujemy zagrożenia związane z nową wędrówką ludów, warto zaczerpnąć z doświadczeń ukazanych w „Amerykaanie”. Można tam znaleźć przestrogi i inspiracje oraz nadzieję, że i my w globalnym świecie możemy zachować swoją lokalną, polską tożsamość kulturową.

„NK” w potrzebie!

„Nowa Konfederacja” znalazła się w trudnej sytuacji finansowej, w związku z utratą kilku Darczyńców. W maju stałe przychody miesięcznika wyniosły 7 140 zł. Aby przetrwać, potrzebuje on 8 494 zł miesięcznie.

Koszty działalności „NK” obejmują wynagrodzenia za: artykuły, redakcję, korektę, grafikę, księgowość, obsługę informatyczną, skład.

Jeśli cenisz „NK” – wesprzyj ją!

Podstawą istnienia miesięcznika są stałe, comiesięczne darowizny. Nawet jeśli są niewielkie, dają poczucie stabilności i pozwalają planować aktywność.

Darowizny prosimy kierować na rachunek bankowy wydawcy „Nowej Konfederacji”, Fundacji Nowa Rzeczpospolita: **09 1560 0013 2376 9529 1000 0001** (Getin Bank). W tytule przelewów najlepiej wpisać: „darowizna”. Jeśli zamierzają Państwo wspierać nas stale, bardzo prosimy o tytuł przelewu: „stała darowizna”.

Dlaczego warto nas wesprzeć? Przynajmniej z sześciu powodów:

1. „NK” jest próbą **stworzenia niskokosztowej poważnej alternatywy dla upadających – finansowo i intelektualnie – mediów głównego nurtu.** Stąd także nowy model pozyskiwania funduszy – poprzez mecenat obywatelski.

2. **Dostajemy wiele sygnałów, że udaje nam się realizować założone cele:** poważnie debatować o państwie i polityce, transmitować do szerokiej publiczności ważne idee naukowe i eksperckie, aktualizować polską tradycję republikańską. Sygnały te płyną zwłaszcza od przedstawicieli inteligencji.

3. Począwszy od października 2013 r., **udaje nam się regularnie publikować kolejne numery „NK”, poruszając tematy tyleż ważne, ile nieobecne w debacie,** jak np. neokolonizacja Polski, przebudowa globalnego ładu politycznego czy władza sondaży.

4. **Mamy wpływ na kształtowanie opinii, zwłaszcza elit.** Czyta nas 15–20 tys. osób miesięcznie, regularnie występujemy w telewizji, inspirujemy inne media do podejmowania wprowadzanych przez nas tematów, nasze artykuły są chętnie przedrukowywane przez popularne portale.

5. Wsparcie „NK” to także **wsparcie młodego – prawdziwie niezależnego i mającego odwagę płynąć pod prąd – ośrodka i środowiska intelektualnego,** niepoddającego się wszechobecnemu marazmowi i starającego się powoli budować lepszą Polskę.

6. **Darowizny na rzecz fundacji są w Polsce (art. 16 ustawy o fundacjach) zwolnione z podatku. Co więcej, podlegają odliczeniu od podatku** zarówno przez osoby fizyczne, jak i prawne, zgodnie z przepisami ustaw o podatku dochodowym od osób fizycznych i prawnych.

O nas

„Nowa Konfederacja” to pierwszy w Polsce internetowy miesięcznik idei. Koncentrujemy się na tematyce politycznej o znaczeniu strategicznym. „NK” to medium misyjne, tworzone przez obywateli – dla obywateli. Jako pierwsi w Polsce działamy profesjonalnie wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców.

Stawiamy sobie **trzy cele główne.**

Po pierwsze, chcemy tworzyć miejsce poważnej debaty o państwie i polityce.

Dziś takiego miejsca w Polsce brakuje. Wskutek postępujących procesów tabloidyzacji oraz uzależnienia mediów opiniotwórczych od partii i wielkiego kapitału, brak ten staje się coraz bardziej dotkliwy.

Stąd, w środowisku skupionym dawniej wokół kwartalnika „Rzeczy Wspólne” – poszerzonym po rozstaniu z Fundacją Republikańską w kwietniu 2013 o nowe osoby – powstał pomysł stworzenia internetowego tygodnika/miesięcznika idei. Niekomercyjnego i niezależnego medium, wskrzeszającego formułę głębokiej publicystyki. Mającego dostarczać zaawansowanej wiedzy o polityce w przystępnej formie.

Nasz drugi cel to pełnienie roli pośrednika między światem ekspercko-akademickim a medialnym.

Współczesna Polska jest intelektualną półpustynią: dominacja tematów trzeciorzędnych sprawia, że o sprawach istotnych mówi się i dyskutuje rzadko, a jeśli już, to zazwyczaj na niskim poziomie. Niemniej w świecie akademickim i eksperckim rodzą się niekiedy ważne diagnozy i idee. Media głównego nurtu przeważnie je ignorują. „Nowa Konfederacja” – ma je przybliżyć.

Cel trzeci to aktualizacja polskiej tradycji republikańskiej.

Republikanizm przyniósł swego czasu Polsce rozkwit pod każdym względem. Uważamy, że jest wciąż najlepszym sposobem myślenia o polityce – i uprawiania jej. Co więcej, w dobie kryzysu demokracji, jawi się jako zarazem remedium i alternatywa dla liberalizmu. Jednak polska tradycja republikańska została w dużym stopniu zapomniana. Dążymy do jej przypomnienia i dostosowania do wymogów współczesności.

Dlaczego konfederacja? Bo to instytucja esencjonalna dla polskiej tradycji republikańskiej – związek obywateli dążących razem do dobra wspólnego w sytuacji, gdy inne instytucje zawodzą. W naszej historii konfederacje bywały chwalebne (konfederacja warszawska 1573 r., sejmy skonfederowane jako remedium na liberum veto), bywały też zgubne (Targowica). Niemniej, zawsze były potężnym narzędziem obywatelskiego wpływu na politykę.

Dzisiejszy upadek debaty publicznej domaga się nowej konfederacji!

„Nową Konfederację” tworzą

Stali Darczyńcy:

Stu Dwudziestu Sześciu Anonimowych Stałych Darczyńców, Paweł Gałus, Bartłomiej Kachniarz, Piotr Kubiak, Michał Macierzyński, Jerzy Martini, „mieszkaniec Bytomia”, Jakub Stychno, Skryta Opcja Sarmacka, Marcin Sławeta, Michał Kocur, Remigiusz Iwuć, Piotr Ogiński, Szymon Radziszewicz.

Pozostali Darczyńcy:

Stu Osiemdziesięciu Czterech Anonimowych Darczyńców, Jacek Bartosiak, Piotr Remiszewski, Piotr Woźny, Andrzej Dobrowolski, Krzysztof Poradzisz, Marek Nowakowski

(Lista Darczyńców jest uaktualniana na początku każdego miesiąca)

Redakcja:

Anna Kiljan (sekretarz), Michał Kuź, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Aleksandra Rybińska (zastępca redaktora naczelnego), Stefan Sękowski (zastępca redaktora naczelnego), Piotr Trudnowski.

Redaktorzy prowadzący: Stefan Sękowski, Anna Kiljan Aleksandra Rybińska

Stali współpracownicy:

Jacek Bartosiak, Michał Beim, Tomasz Grzegorz Grosse, Maciej Gurtowski, Bartłomiej Kachniarz, Krzysztof Koehler, Andrzej Maśnica, Rafał Matyja, Anna Mieszczanek, Barbara Molska, Agnieszka Nogal, Tomasz Pichór, Adam Radzimski, Krzysztof Rak, Zbigniew Stawrowski, Krzysztof Wołodźko, Piotr Woyke, Michał Lubina

Grafika (okładki): Kinga Promińska

Korekta i redakcja stylistyczna: Sylwia Pikula

Skład: Rafał Siwik

Wydawca: Fundacja Nowa Rzeczpospolita

Kontakt: redakcja@nowakonfederacja.pl

Adres (wyłącznie do korespondencji):

Fundacja Nowa Rzeczpospolita, Al. Solidarności 115, lok. 2, 00-140 Warszawa